[W]ARSZAWA
[R]OK IV
STYCZEŃ – LUTY 1946 R.
Nr 1–2

warszawski miesięcznik społeczno literacki

LEWY TOR

Cena Numeru 15 zł

TREŚĆ NUMERU



WACŁAW BIELECKI

Stara i nowa demokracja

Część III.

Treścią poprzedniego rozdziału była analiza przyczyn i skutków głównej słabości demokracji mieszczańskiej — braku jedności, rozproszkowania sił w walce z faszyzmem.

Była to słabość główna, lecz nie jedyna. Obok braku jedności, źródłem słabości demokracji przedwojennej, przyczyną początkowych porażek wojennych był brak zdecydowania w walce z faszyzmem, tendencja ugody zamiast żądzy walki z głównym wrogiem demokracji i ludzkości. Objawiało się to zarówno w skali międzynarodowej, w stosunku do Niemiec hitlerowskich, jak i wewnątrz każdego państwa czy narodu, w stosunku do rodzimego faszyzmu, do rodzimej reakcji. Te tendencje do ugody z Niemcami hitlerowskimi znalazły swój wyraz w osławionej polityce „ugłaskiwania lwa".

W Europie przedwojennej odbywało się makabryczne widowisko. Gad krzyżacki otwierał gardziel na coraz to nowe ziemie, nowe kraje, a państwa zachodnie odpowiadały na to coraz nowymi ustępstwami rzucając bestii wciąż nowe i coraz większe kęsy (Nadrenia, Saara, Czechosłowacja). Punktem kulminacyjnym tego tragicznego wyścigu żarłoczności Niemiec hitlerowskich z ustępliwością demokracji zachodnich, ukoronowaniem polityki ugody z Niemcami hitlerowskimi było Monachium.

Jakież były źródła tej samobójczej gry monachijskiej? Autorzy Monachium, wielka burżuazja angielska i francuska,



ich pełnomocnicy, Chamberlain i Daladier, liczyli na to, że przez ustępstwa uda się odwrócić niebezpieczeństwo od państw zachodnich i skierować ekspansję hitlerowską na wschód. Nie trzeba dziś wykazywać, że ta polityka zwróciła się ostrzem swym przeciw jej autorom. Monachium doprowadziło w prostej linii i to bardzo szybko do drugiej wojny światowej, do agresji niemieckiej przeciwko Francji i Anglii. Związek radziecki był jedynym państwem demokratycznym, które przestrzegało przed zgubną polityką i wykazywało jedyną słuszną drogę — zdecydowanego oporu, zdecydowanej walki do końca z Niemcami hitlerowskimi.

Wydaje się dziwne, że właśnie u nas, w Polsce, dla której imperializm niemiecki stanowił od wieków śmiertelne niebezpieczeństwo, w kraju najbardziej zagrożonym agresją hitlerowską, który upatrzony był na najbliższą ofiarę — ta straszliwa w swych skutkach polityka porozumienia, ugody z Niemcami, ba, wspólnej walki z Niemcami przeciwko Związkowi Radzieckiemu, znalazła największych bodaj zwolenników i entuzjastów. Każdy wie, że to właśnie było alfą i omegą mądrości politycznej pana Becka, mądrości politycznej kresowych żubrów i Lewiatana.

Ta zdradziecka polityka miała dla nas tragiczne konsekwencje. Tej polityce nie potrafiła się w zdecydowany sposób przeciwstawić demokracja polska, nie potrafiła pokrzyżować zdradzieckich planów magnatów i potentatów finansowych. Nie potrafiła zerwać haniebnych pęt, wiążących nasz kraj z Niemcami hitlerowskimi, nie potrafiła zdemaskować intryg i knowań przeciwko Związkowi Radzieckiemu i poprowadzić naród po jedynie słusznej drodze walki na śmierć i życie z niemieckim imperializmem. Żadna z partii demokratycznych, ani PPS, ani Stronnictwo Ludowe nie potrafiło dość konsekwentnie wyzbyć się uprzedzeń i niechęci w stosunku do Związku Radzieckiego, by dokonać koniecznego zwrotu w polityce, koniecznego dla ocalenia niepodległości.

Chwiejna i ugodowa postawa części demokracji polskiej w stosunku do polityki zagranicznej polskiego faszyzmu obezwładniała i pętała siły demokracji w walce z agresją niemiecką. Nie znalazła się wówczas w Polsce siła, która potrafiłaby stać się ośrodkiem krystalizacyjnym polityki zdecydowanej walki z Niemcami hitlerowskimi, polityki sojuszu ze Związkiem Radzieckim, która potrafiłaby do walki tej poprowadzić cały naród. I dopiero rok 1939, dopiero lata i doświadczenia okupacji niemieckiej stały się punktem zwrotnym w polityce polskiej demokracji.

Z krwawej lekcji historycznej demokracja i narody świata wyciągnęły wnioski. W toku wojny stworzona została koalicja antyhitlerowska wszystkich państw zdecydowanych do walki z Niemcami hitlerowskimi. Polityka ustępstw zbankrutowała haniebnie na całej linii i skończyła się ostatecznie i na zawsze. Doprowadziła ona do osłabienia pozycji państw demokratycznych w stosunku do agresora hitlerowskiego, przyczyniła się do szeregu porażek militarnych w okresie wojny. Polityka zdecydowanej walki doprowadziła do wzmocnienia pozycji bloku antyhitlerowskiego, prowadziła od sukcesu do sukcesu, a wreszcie do całkowitego zwycięstwa demokracji, do kapitulacji Niemiec hitlerowskich.

Na tych podstawach odbudowuje się nowa powojenna Europa. Narody świata zrozumiały, że jeśli nie ma się powtórzyć nigdy tragedia 39 roku, jeśli ludzkość ma żyć i rozwijać się, jeśli zapanować ma na świecie pokój i bezpieczeństwo, to imperializm niemiecki musi być zniszczony doszczętnie, raz na zawsze i ostatecznie. W przeciwnym razie straszliwe ofiary największej w dziejach świata wojny i tak drogo okupione zwycięstwo zostałoby zaprzepaszczone, pokój zostałby przegrany. Tę prawdę dziejową rozumiemy bodaj najlepiej my, Polacy, gdyż druga wojna światowa była dla naszego narodu najdotkliwszą lekcją historyczną. Doświadczenie ostatnich lat wykazało raz jeszcze, że aby nigdy nie mogła się powtórzyć tragedia 1939 r., aby Polska mogła żyć i rozwijać się, imperializm niemiecki musi zginąć na wieki i całkowicie.

Nic dziwnego, że właśnie u nas zdecydowana i konsekwentna polityka wobec rozbitych i pokonanych Niemiec znalazła, podobnie jak w Związku Radzieckim, najbardziej entuzjastycznych zwolenników i że sprawa granic na Bałtyku, Odrze i Nysie Łużyckiej, jako jedyna gwarancja bezpieczeństwa naszego kraju, stała się aksjomatem i podstawową wytyczną polityki zagranicznej całej polskiej demokracji.

Lecz powiedzmy od razu — tylko demokracji. „Mądry Polak po szkodzie" mówi przysłowie, lecz ta mądrość narodu nie odnosi się bynajmniej do naszej rodzimej reakcji. Raczej zastosować można byłoby powiedzenie naszego poety z XVII wieku Wacława Potockiego:

„I wnet sobie Polak to przysłowie kupi
Że i przed szkodą i po szkodzie głupi".

Naszych reakcjonistów spod znaku rządu emigracyjnego niczego nie nauczyła katastrofa wrześniowa, niczego nie nauczyły lata okupacji hitlerowskiej. Panowie Raczkiewicze, Sosn-

kowscy, Kwapińscy i Arciszewscy prowadzili w dalszym ciągu politykę Becka, politykę zdradzieckich machinacji przeciwko Związkowi Radzieckiemu. Alfą i omegą ich polityki była i jest osławiona teoria „dwóch śmiertelnych wrogów". Dwóch raczej w teorii, gdyż w praktyce istnieje dla nich jeden wróg — Związek Radziecki. Nie jest bynajmniej przypadkiem, że ta droga doprowadzić musiała do zetknięcia się na płaszczyźnie nienawiści do Związku Radzieckiego ze śmiertelnym wrogiem Polski—Niemcami hitlerowskimi, do poparcia prowokacji katyńskiej, do zerwania stosunków dyplomatycznych ze Związkiem Radzieckim. Nie jest bynajmniej przypadkiem że panowie ci tak wspaniałomyślnie wyrzekali się Wrocławia i Szczecina i naszych ziem zachodnich. I dziś jeszcze ta zgubna teoria i praktyka pokutuje w głowach niektórych przywódców, którzy nazywają siebie demokratami, zwłaszcza tych, którzy do niedawna silnie związani byli z Raczkiewiczami i Arciszewskimi i ponoszą współodpowiedzialność za katastrofalną politykę. Niebezpieczeństwo nawrotu do starych, tragicznych błędów, mimo najstraszliwszej lekcji historycznej, jaką przeżyliśmy — bynajmniej nie minęło.

Jeszcze nie umilkł huk dział, jeszcze nie pochowane zostały miliony ofiar hitlerowskiego terroru, a już podnosić się zaczęły głosy, z początku nieśmiałe, a później coraz głośniej wołające w imię humanitaryzmu o litość dla pokonanych Niemiec, o ustępstwa, o ludzkie warunki pokoju. Ci „humanitaryści" angielscy czy amerykańscy nie prowadzą kampanii przeciw SS-owcom, przeciw hitlerowskim katom i mordercom milionów, lecz prowadzą kampanię przeciw ofiarom, przeciwko Polsce, przeciwko naszym Ziemiom Zachodnim. Panowie ci zapomnieli już o okrucieństwach niemieckich, zatykają uszy watą, kiedy się o nich mówi, lecz krzyczą na cały świat o „okrucieństwach polskich" wobec nieszczęśliwych ofiar niemieckich, wypędzanych nielitościwie z naszych ziem. Cóż oznacza ta polityka, ta propaganda? Przecież to nic innego, jak w nowej formie, w nowych warunkach stara, osławiona polityka monachijska, polityka ustępstw wobec imperializmu niemieckiego. I ci panowie w Anglii czy Ameryce, jakiekolwiek noszą nazwiska, czy znane nam sprzed wojny, czy nieznane — są rzecznikami tych samych kół, które inspirowały przedwojennych monachijczyków, rzecznikami wielkich finansistów i oligarchów przemysłowych. Jeśliby pozwolić tej polityce rozwinąć się i zatriumfować — doprowadzić by ona musiała niechybnie do odrodzenia imperializmu niemieckiego, do nowej katastrofy światowej. Lecz nowa demokracja zerwała raz na

zawsze i nieodwołalnie ze zgubną, samobójczą polityką ustępstw i weszła zdecydowanie na drogę nieustępliwej walki z ciemnymi siłami faszyzmu i reakcji, walki do końca, do ostatecznego zwycięstwa. I nie ma takiej siły, która potrafiłaby ją z tej drogi zawrócić.

— — — — — — — — — —

Odpowiednikiem polityki monachijskiej w stosunkach wewnętrznych państw demokratycznych był brak zdecydowanej walki obozu demokratycznego z rodzimym faszyzmem, wahania, a nawet tendencja do porozumienia części demokracji z rodzimą reakcją. Zagrożona i atakowana przez faszyzm we wszystkich niemal krajach, demokracja nie potrafiła znaleźć w sobie dość sił i zdecydowania, by nie tylko odeprzeć zakusy faszyzmu, lecz przejść do zdecydowanej ofensywy, rozprawić się ze śmiertelnym wrogiem po jakobińsku, zdusić hydrę faszystowską w samym zarodku. Gdy faszyzm zbierał wszystkie siły w żelazny kułak, by zagarnąć władzę i zniszczyć demokrację — obóz demokratyczny był wszędzie prawie w defensywie, lękał się zdecydowanej akcji, ograniczał do półśrodków, a nawet szukał kompromisów i porozumienia. Niezdecydowanie, legalizm, fetyszystyczna wiara w kartkę wyborczą — oto co cechowało postawę znacznej części demokracji. Taka polityka doprowadzić musiała i w istocie doprowadziła w szeregu krajów do osłabienia sił demokracji, do cofania się, do odstępowania jednej pozycji po drugiej wrogowi, a w niektórych do zwycięstwa faszyzmu. Tak było przede wszystkim w Niemczech, gdzie dzięki niezdecydowanej postawie, a nawet tendencji do porozumienia z hitleryzmem umiarkowanych odłamów obozu demokratycznego — Hitlerowi w sposób legalny i parlamentarny udało się dojść do władzy w styczniu 1933 r. Jednym z pierwszych jego kroków po dojściu do władzy było rozgromienie wszystkich partii oprócz hitlerowskiej, między innymi i tych partii, które pomogły mu w uzyskaniu władzy.

Gdzie kryją się korzenie tej samobójczej polityki?

Wśród pewnej części obozu demokratycznego istniały poważne złudzenia, że faszyzm nie jest straszny, że można z nim współżyć, że istnieje możliwość przerzucenia mostu pomiędzy demokracją a faszyzmem. I podobnie jak u podstaw polityki monachijskiej leżały złudzenia, że można dogadać się z Niemcami hitlerowskimi, i skierować ich agresję na wschód, tak źródłem wahań i oportunizmu w stosunku do rodzimego faszyzmu były złudzenia, że można się z nim porozumieć przeciwko czerwonemu niebezpieczeństwu, przeciwko „komunizmowi".

Aby zrozumieć w całej pełni szkodliwość tej polityki, jej klasową istotę, trzeba nakreślić choćby z grubsza plan strategiczny wielkiej bitwy społecznej, która rozegrała się pomiędzy faszyzmem a obozem demokracji. Naprzeciwko siebie stały śmiertelnie wrogie siły — faszyzm i demokracja. Taka wewnętrzna linia podziału biegła poprzez wszystkie kraje Europy, choć stosunek tych sił był w różnych ogniwach oczywiście różny. Im bardziej zaostrzała się sytuacja, tym linia podziału stawała się coraz wyraźniejsza, napięcie walki coraz większe. Na czele obozu demokracji stał proletariat. Rozumiał on najlepiej, że zadaniem w walce jest rozbicie, rozgromienie głównego wroga — faszyzmu, że bez tego niemożliwe jest utrzymanie demokracji, niemożliwy jest dalszy postęp społeczny, dalszy rozwój ludzkości. I proletariat we wszystkich krajach, gdzie toczyła się walka z faszyzmem, był awangardą, czołowym, najbardziej zdecydowanym i konsekwentnym oddziałem demokracji. Naturalnym sojusznikiem proletariatu w tej walce było chłopstwo, drobnomieszczaństwo, a nawet pewna część burżuazji, zagrożonej w swych prawach politycznych i społecznych, w swym ekonomicznym stanie posiadania przez kapitał monopolistyczny, przez faszyzm. Wśród klas społecznych nie wszędzie panowały jednak zdecydowane nastroje walki z faszyzmem, jak w klasie robotniczej, a im bardziej na prawo — tym wahania były większe. Część burżuazji, bogatego chłopstwa, czy zamożniejszego drobnomieszczaństwa, związana tysiącem nici z ustrojem kapitalistycznym chciałaby uniknąć walki z faszyzmem, a nawet porozumieć się z nim w obawie, że walka mogłaby doprowadzić do zwycięstwa klasy robotniczej — a zwycięstwa jej bano się bardziej nawet niż zwycięstwa faszyzmu. Tu tkwiło społeczne źródło wahań i niezdecydowania, ciągłych prób przerzucenia mostu nad nieprzebytą przepaścią dzielącą demokrację od faszyzmu i tu tkwiło największe niebezpieczeństwo w tej walce. Takie nastroje bowiem odwodziły demokrację z jedynej słusznej drogi, wiodącej do zwycięstwa nad faszyzmem, drogi bezkompromisowej walki, były pomostem dla chwiejnych elementów do przejścia na stronę wroga, a z drugiej strony pozwalały wrogowi na penetrację i osłabianie od wewnątrz obozu demokracji.

Historia wykazała, że w okresach rewolucyjnych, w okresach wielkich przemian nastroje wahań, kompromisów, hamowania zdecydowanej walki z wrogiem stanowiły zawsze najgroźniejsze niebezpieczeństwo. Tak było podczas wielkiej Rewolucji Francuskiej i było to źródłem walki pomiędzy górą a żyrondą — partią liberalnej burżuazji, która przeszkadzała w do-

prowadzeniu rewolucji demokratycznej do końca, paktowała z feodalną arystokracją, aby w końcu przejść na stronę wroga przeciwko rewolucji. Tak było w 1905 roku w Rosji, kiedy pod wodzą proletariatu lud rosyjski ruszył do szturmu, do obalenia caratu. Liberalna burżuazja w obawie przed zwycięstwem ludu starała się zatrzymać rewolucję w biegu, osłabić jej siłę, szukała ugody i kompromisu z caratem, aby wreszcie przejść na jego stronę. Tak było w listopadzie 1917 roku, kiedy pod wodzą partii bolszewickiej lud rosyjski ruszył do szturmu na kapitalizm. Największe niebezpieczeństwo dla rewolucji stanowiły wtedy wahające się partie mieńszewików i eserów, które zamiast walki szukały porozumienia z burżuazją i w konsekwencji znalazły się wraz z najskrajniejszą reakcją po drugiej stronie barykady — jako najzawziętsi wrogowie rewolucji.

Dlatego, aby walka z faszyzmem była skuteczna, aby mogła doprowadzić do zwycięstwa, było bezwzględną koniecznością zwalczanie i paraliżowanie nastrojów niezdecydowania, kompromisu, oportunizmu i niewiary w siły demokracji, które w konsekwencji doprowadzić musiały do osłabienia i porażki antyfaszystowskiego obozu.

Brak zdecydowanej walki, nastroje wahań, a nawet kompromisu były również główną słabością demokracji polskiej w walce z sanacją. W pierwszych latach po przewrocie majowym naiwna wiara w możliwość współpracy z sanacją były w PPS czy w stronnictwie ludowym dość powszechne. Wyraziło się to zresztą w parlamentarnym poparciu Piłsudskiego przez niektóre stronnictwa demokratyczne. Faszyzm sanacyjny, a później ozonowy usiłował te nastroje wszelkimi siłami podsycać, aby osłabić demokrację. Prowadził politykę dywersji na terenie ruchu robotniczego i chłopskiego w postaci różnych grupek (jaworowszczyzna, Moraczewski itd.), które reprezentowały linię współpracy z sanacją. Cały dalszy bieg wypadków: Brześć, Bereza, konstytucja faszystowska itp., szybka faszyzacja kraju — musiały rozbić w szerokich masach te zgubne złudzenia. Lecz nastroje niezdecydowania i chwiejności w walce z sanacją, mimo ogromnego wzrostu sił opozycyjnych, niezadowolenia i nienawiści do faszystowskiej kliki były jeszcze tak silne, że hamowały konsekwentną walkę z faszyzmem. U źródeł nastrojów leżała tak jak wszędzie, a u nas szczególnie silnie zakorzeniona, samobójcza teoria dwóch wrogów zewnętrznych, która uniemożliwiła również stworzenie rzeczywistego jednolitego frontu. Łączy się to najściślej z rozbiciem demokracji, niemożliwością utworzenia jednolitego narodowego frontu do zdecydowanego szturmu demokracji przeciw ozonowej klice. Wskutek

słabości demokracji polskiej klika faszystowska mogła tak długo utrzymać się przy władzy wbrew woli ogromnej większości narodu. Wskutek słabości wewnętrznej demokracji polskiej napaść Niemiec hitlerowskich zastała nas nieprzygotowanych.

Wojna i okupacja wykazały dopiero w całej pełni, w całej jaskrawości do czego prowadzi droga ugody i współpracy z faszyzmem. Konsekwentnie doprowadzona do końca linia porozumienia z wrogiem — to była zdrada narodu, przejście na stronę okupanta, jednym słowem „quislingizm".

Ruchy faszystowskie w różnych krajach, które od samego początku służyły interesom Hitlera, stały się i stać się musiały w okresie okupacji jawnymi agenturami okupanta, narzędziem w jego rękach dla uciskania i tępienia własnego narodu. U nas w Polsce, mimo iż zdrajców, służalców i pachołków hitlerowskich nie brakło, nie było takiego odłamu politycznego, który by jawnie odgrywał rolę agentury okupanta. Bankructwo idei współpracy z Hitlerem było u nas tak całkowite, skutki tej polityki dla narodu tak straszliwe, terror hitlerowski tak okrutny, nienawiść całego społeczeństwa do okupanta tak silna, że jawne głoszenie współpracy z wrogiem nie miało żadnych perspektyw powodzenia. Każdy jawnie „quislingowski" ruch skazany był od razu na całkowitą izolację i bankructwo.

Pod wpływem wstrząsów wojny i okupacji w narodzie naszym zaczęły zachodzić poważne przeobrażenia społeczne. Tradycyjne partie polityczne zaczęły się rozpadać, we wszystkich niemal ugrupowaniach politycznych nastąpiły rozłamy, powstawały natomiast nowe partie, występowały nowe ruchy społeczne, nowe hasła, nowe problemy. Podstawowymi zagadnieniami, dokoła których krystalizowały się procesy społeczne, były: stosunek do walki z okupantem i stosunek do Związku Radzieckiego. Na jednym biegunie grupowały się siły, które jako naczelne zadanie narodu wysunęły hasło bezwzględnej walki z najeźdźcą, walki do zwycięstwa.

Były to te same siły społeczne, dla których sojusz polsko-radziecki stał się kamieniem węgielnym naszej polityki zagranicznej. W skład tego obozu wchodziły: nowopowstała w 1941 r. Polska Partia Robotnicza, demokratyczna, antyfaszystowska część Polskiej Partii Socjalistycznej (R.P.P.S.), demokratyczna część dawnego Stronnictwa Ludowego (Wola Ludu). Ten konsekwentnie demokratyczny ludowy obóz wyłonił następnie, jako organ jedności demokracji, organ walki z okupantem — K.R.N. Na drugim biegunie grupowały się wszystkie siły reakcyjne, które nie prowadziły i nie chciały prowadzić rzeczywistej

i konsekwentnej walki z okupantem, które za głównego wroga uważały nie Niemcy Hitlerowskie — lecz Związek Radziecki, a za wroga wewnętrznego nie faszyzm, nie reakcję lecz „komunizm". A komunistami byli dla nich wszyscy demokraci, wszyscy ci, którzy chcieli sojuszu ze Związkiem Radzieckim, którzy chcieli walczyć z okupantem.

Czołowe miejsce w tym obozie zajmowała oczywiście z wieku i urzędu sanacja, choć panowie z ozonu, tak straszliwie skompromitowani w oczach całego narodu, początkowo starali się pozostawać trochę w cieniu, starali się wysuwać na bardziej eksponowane, jawne posterunki swoich kompanów z dawnych opozycyjno-demokratycznych ugrupowań. A stwierdzić trzeba, niestety, że nie brakło ich wśród dawnych działaczy PPS czy Stronnictwa Ludowego, czy Chrześcijańskiej Demokracji. Siły i ugrupowania w stronnictwach demokratycznych, które przed wojną były nosicielami nastrojów, wahań i niezdecydowania, a nawet ugodowości w stosunku do sanacji, w okresie wojny w konsekwentnym rozwoju tego procesu poszły na jawną współpracę z elementami ozonowo-faszystowskimi, znalazły się wspólnie z sanacją po drugiej stronie barykady — poddały się pod jej komendę. Ideologią tego bloku była dawna ideologia sanacyjna, maskowana niezręcznie demokratycznym frazesem. W ten sposób zarówno proces krystalizacji sił demokratycznych w poszczególnych partiach jak i sił ugodowych, oportunistycznych doprowadzony został do konsekwentnego końca. Powstały dwa wyraźne, przeciwstawne sobie obozy: z jednej strony obóz walki z okupantem — obóz Demokracji Ludowej, z drugiej strony — reakcyjny dziwoląg w postaci spółki sanacyjno-WRN-owsko-Mikołajczykowskiej, który jakby na śmiech czy urągowisko przezwał się Radą Jedności Narodowej. Obóz ten w istocie swojej antydemokratyczny nie popierał walki narodu przeciwko okupacji, lecz starał się ją wszelkimi siłami hamować i ograniczać. Hasło szerzone przez niego „stania z bronią u nogi" zyskało sobie zasłużoną, smutną sławę.

A gdy powstał rzeczywisty obóz Jedności Narodowej do walki z okupantem, gdy wyłoniona została KRN, ten sam obóz, który nie dopuszczał do walki zbrojnej z okupantem, prowadził dziką akcję i nagonkę przeciwko KRN jako głównemu swojemu wrogowi wewnętrznemu. Skrajne elementy tego obozu w postaci band NSZ-towskich posunęły się nawet do systematycznej akcji mordów bratobójczych. Ta teoria i praktyka obozu reakcji utrudniała i hamowała istotną walkę narodu i nie jest przypadkiem, że w Polsce walka zbrojna, partyzantka rozpoczęła się na większą skalę dopiero od 1942 r., w miarę

krystalizacji i umocnienia sił Demokracji Ludowej i nie rozwinęła się w konsekwencji tak potężnie, jak np. na Ukrainie. Białorusi czy w Jugosławii.

Obóz Demokracji, obóz walki napotykał oprócz trudności związanych z panowaniem okupanta na poważne trudności i przeszkody stawiane przez szkodliwą i zgubną działalność dobrze zorganizowanego i rozporządzającego rozgałęzioną organizacją wojskawą (AK) obozu.

Walka z okupantem wiązała się nierozerwalnie z koniecznością walki z rodzimą reakcją, ze zgubnymi nastrojami, hasłami bierności, wyczekiwania i ugodowości, które reakcja szerzyła. Te nastroje, te wpływy w masach trzeba było rozbić, aby oczyścić drogę dla konsekwentnej walki o wolność i niepodległość Polski. Rzeczywistość wykazała, że droga Demokracji Ludowej była jedynie słuszna i doprowadziła do zwycięstwa. Zwycięstwo demokracji ludowej doprowadzić musiało i doprowadziło do całkowitego bankructwa i klęski obozu reakcyjnego, do jego rozkładu. Pod naporem rzeczywistości zerwana została nienaturalna spółka ozonowo-WRN-owsko-Mikołajczykowska. Obałamucone elementy demokratyczne zaczęły masowo opuszczać obóz reakcji, grupując się pod sztandarami KRN i Rządu Jedności Narodowej. Odpowiednikiem bloku reakcyjnego poza granicami kraju był rząd emigracyjny, była taka sama nienaturalna, a jednak nie przypadkowa spółka Raczkiewiczów i Sosnkowskich z Mikołajczykiem, czy Stańczykiem. Jasne jest, że i tu, zwłaszcza po śmierci gen. Sikorskiego, ton polityce tego rządu z nieprawdziwego zdarzenia nadawała sanacja, sprzymierzona z faszystowską częścią endecji, a wszystkie inne ugrupowania polityczne pozostawały pod jej komendą. Jasne jest również, że polityka ta musiała być reakcyjna i głęboko szkodliwa dla najżywotniejszych interesów narodu w jego walce o niepodległość. Jasne jest także, że w zetknięciu z rzeczywistością ta linia polityczna musiała zbankrutować i istotnie zbankrutowała, że doprowadzić musiała do coraz głębszego niezadowolenia w ugrupowaniach niesanacyjnych, do dalszego rozwarstwienia i rozkładu, że zwycięstwo Demokracji Ludowej doprowadzić musiało w konsekwencji do zerwania nienaturalnej i trwającej aż nazbyt długo spółki Raczkiewicz-Sosnkowski z Mikołajczykiem i Stańczykiem, do przyłączenia się pod naporem rzeczywistości chwiejnych i niekonsekwentnych elementów demokratycznych do KRN i Rządu Jedności Narodowej.

Zwycięska Demokracja Ludowa wyciągnęła wnioski z doświadczenia wojny i okupacji. Zrozumiała, że jednym z głów-

nych źródeł niepowodzeń i porażek Demokracji Przedwojennej, demokracji mieszczańskiej były wahania i tendencje do ugody z reakcją. Zrozumiała ona, że jednym z głównych źródeł siły demokracji nowej, demokracji ludowej, jest zdecydowana walka z reakcją, że bez ducha walki, ducha ofensywy zwycięstwo nad okupantem byłoby niemożliwe. Zrozumiała ona również, że walka nie jest skończona, że bez tego samego ducha ofensywy, tego samego ducha, który cechował Demokrację Ludową w okresie wojny i okupacji, nie może być mowy o utrwaleniu zwycięstwa, nie może być mowy o ostatecznym zwycięstwie w nowej wielkiej bitwie, którą dziś prowadzimy, w bitwie o odbudowę kraju, o zbudowanie Polski Ludowej. Rozumie to również i obóz przeciwny, rozumie to reakcja i gromadzi swe siły do walki z demokracją, przechodząc na niektórych odcinkach do kontrofensywy, starając się powstrzymać w biegu koła historii, starając się nie dopuścić do odbudowy kraju, do utrwalenia Polski Demokratycznej.

Wszystko, co dotychczas osiągnęliśmy na odcinku odbudowy nowej Polski, zdobyliśmy szturmem w zaciekłej nieubłaganej walce z reakcją. Weźmy reformę rolną, tę pierwszą bitwę klasową, która rozegrała się w naszym kraju po zwycięstwie. Reakcja wyłaziła ze skóry, by utrudnić, by uniemożliwić jej przeprowadzenie, by ją wykoślawić. Nie tylko prowadziła agitację wśród chłopów, by nie brali ziemi, lecz organizowała zbrojne bandy dla terroryzowania chłopów, dla mordowania działaczy demokratycznych, bandy dla walki bratobójczej.

Te same NSZ-towskie oddziały, które pod skrzydłami obszarników i spekulantów prowadziły haniebną bratobójczą walkę w okresie okupacji, mordując demokratów, wycinając w pień oddziały A.L., w okresie reformy rolnej wystąpiły jawnie, jako wojsko obszarnicze, mające za zadanie pokrzyżowanie realizacji reformy rolnej. Kapitaliści walczą również zaciekle przeciwko nacjonalizacji przemysłu, wysuwając hasło reprywatyzacji.

Nieubłagana walka toczy się na całym froncie pomiędzy dwoma jasno i wyraźnie skrystalizowanymi obozami: Obozem Demokracji Ludowej i obozem reakcji. Największym niebezpieczeństwem w tej walce, jak to wykazało całe dotychczasowe doświadczenie, są wahania i tendencje ugodowe ze strony niektórych przywódców i ugrupowań w stosunku do reakcji. Doświadczenie nauczyło nas po tysiąckroć, że wszystkie próby przerzucenia mostów zgody ku reakcji kończą się przejściem na drugą stronę barykady. Już dziś, niedobitki faszystowskie,

obszarnicze, wielkokapitalistyczne pozbawione możliwości legalnego działania usiłują wykorzystać nastroje niezdecydowania i oportunizmu, by pod skrzydłami wahających się, ugodowych partii i przywódców skupić siły do walki z demokracją. Charakterystycznym przykładem może tutaj służyć Jugosławia, gdzie przywódca Milan Grol, który początkowo wchodził w skład Rządu Jedności Narodowej — następnie zerwał z nim, stał się centralną figurą legalnej opozycji, dokoła której zgrupowały się wszystkie faszystowskie (rozbitki dawnych band Pawelicza, Nielicza, Michajłowicza) elementy. Z tymi próbami, z tym niebezpieczeństwem ugody z reakcją trzeba walczyć konsekwentnie, walczyć do końca. Rozbić ją ideologicznie, by oczyścić drogę do zwycięstwa.

Mylą się ci, którzy sądzą, że rozszerzenie frontu jedności narodowej, wejście w skład rządu Mikołajczyka, Stańczyka czy innych członków dawnego Rządu Emigracyjnego oznacza kurs porozumienia się z reakcją. Oznacza tylko, że front demokratyczny, a więc front bezwzględnej walki z reakcją rozszerzył się i porozumienie jest tylko pod tym warunkiem i tylko o tyle możliwe na dłuższą metę, o ile wszystkie ugrupowania, wchodzące w skład Rządu Demokratycznego staną szczerze i rzeczywiście na gruncie platformy PKWN, na gruncie walki z reakcją. I mylą się ci, którzy sądzą, że wpływ różnych wahających się elementów potrafi osłabić zdecydowanie ducha ofensywy w walce z reakcją. Utrwalenie Demokracji Ludowej, ostateczne zwycięstwo w bitwie o odbudowę kraju może być osiągnięte tylko przez rozbicie reakcji, przez doprowadzenie walki z nią do końca. Tą drogą Demokracja Ludowa kroczy niezłomnie i nie ma siły, która potrafiłaby ją z tej drogi zawrócić.

D-r ST. A. MAJEWSKI

Marksizm—filozofia czynu

Jest rzeczą powszechnie znaną, że marksizm, określany jako materializm historyczny, przeciwstawia się idealizmowi filozoficznemu. Wskazuje na to dobitnie już sam rzeczownik w nazwie określającej. Jednakże występuje w niej również określenie przymiotnikowe, które w niemniejszym stopniu charakteryzuje jego istotę, aniżeli ów rzeczownik. Ale określenie „historyczny" kojarzy się odruchowo jużto z pewnymi rodzajami opracowań teoretycznych — takimi, jak dokumenty i książki zawierające świadectwa i wiadomości o przeszłości — już to z samą przeszłością, o której opowiadają owe dokumenty i książki. Dlatego to określenie „historyczny" wprowadza w błąd co do istoty marksizmu. Marksizm bowiem nie jest ani teorią historyczną, czyli nauką o czasach minionych, ani w ogóle czystą teorią, jedną z wielu systemów myśli oderwanych od zagadnień bieżącego życia.

Nie jest on teorią historyczną, bo obejmuje swym zasięgiem całokształt życia, w pierwszym rzędzie wprawdzie stosunki gospodarczo-społeczne, ale dalej również wszelkie zjawiska przyrody, zarówno żywej, jak martwej. Nie jest on teorią historyczną, bo zajmuje się nie tylko zagadnieniami przeszłości, ale przede wszystkim aktualnymi problemami teraźniejszości. Co więcej, jak każda prawdziwa nauka, wychodzi on i poza teraźniejszość, stawiając prognozy i określając przyszłość i rzeczy, które nadejdą, bo w myśl wewnętrznych praw rozwoju narodów i całej ludzkości nadejść muszą.

Marksizm nie jest także czystą teorią, jest on bowiem w tym samym stopniu praktyką, co teorią. I ten właśnie jego aspekt w poniższych rozważaniach głównie zajmować nas będzie. Za mało się pamięta i mówi o tym, że marksizm przeciwstawia się ostro nie tylko idealizmowi, ale wszystkim innym systemom filozoficznym. Jest on bowiem rzeczywiście w pewnym sensie materializmem, ale istotniejszą jeszcze jego cechą jest to, że jest filozofią czynu. Wszystkie inne systemy filozoficzne ujmują całokształt zjawisk z punktu widzenia, czym te zjawiska faktycznie są, tj. opisowo, i normatywnie, z punktu widzenia, jakimi one być powinny ze stanowiska najwyższego dobra, najwyższych wartości bez czego nie wart byłby, aby był. Także marksizm obserwuje obiektywnie zjawiska rzeczywisto-

ści, on również ocenia je z punktu widzenia ich wartości moralnych, ale w przeciwieństwie do wszystkich innych systemów filozoficznych na tym nie poprzestaje, ale dąży do ich zmiany i faktycznie je zmienia, tak aby się układały w pewien ład wymagany przez nasze kryteria moralne.

Dla zdania sobie sprawy z doniosłości poruszonego tutaj zagadnienia musimy uświadomić sobie, jak bardzo postawa współczesnego człowieka wobec życia jest inna, aniżeli była w przeszłości.

Jeżeli chodzi o okres feudalizmu, to całkiem ogólnie można powiedzieć, że postawa człowieka była wówczas bierna zarówno w myśli jak w czynie. Konsekwencje teologii — ideologicznej nadbudowy feudalizmu — prowadziły do tej bierności. Bóg stworzył świat i Opatrzność decyduje o losie nie tylko człowieka, ale nawet najmarniejszego stworzenia. Wszystko, co jest i co się zmienia, jest wynikiem łaski Bożej, którą człowiek wyprosić może modltwą i życiem zgodnym z nakazami religii. Wszystko, co jest, musi jako dzieło Boga być dobre, przeważnie coś na świecie wydaje się złem tylko dlatego, że poznanie jego prawdziwej dobroci przekracza ograniczony rozum ludzki, a zło rzeczywiste jest dziełem pierworodnej słabości człowieka i wynikiem jego winy. Dlatego najbardziej wskazane jest życie bierne, kontemplacja i możliwie najgłębsza pokora wobec rzeczywistości, jako dzieła Bożego. Ideałem był, zgodnie z tym, święty i mnich. Niewątpliwie większość ludzi w okresie feudalno-teologicznym daleka była od życia podług tego ideału. Wbrew konsekwencjom wypływającym z teologii wiodła ona życie czynne. Ale dlatego też ta większość uważała się za grzeszną, niedoskonałą, a swoje zabiegi życiowe rozgrzeszała tym, że są one konieczne, aby wybrana przez Boga mniejszość mogła żyć po Bożemu, wyjednywać łaskę opatrzności dla wszystkich i przyczyniać się do zbawienia świata.

Ideologiczna nadbudowa feudalizmu i dyktowana przez nią zasadnicza postawa wobec życia wyrosła ze stosunków wytwórczych w ustroju feudalnym, z narzędzi i metod produkcji, którymi podówczas człowiek rozporządzał. Z powodu prymitywności tych narzędzi decydujące znaczenie w pracy wytwórczej miały nie te narzędzia ale siła mięśniowa człowieka i zwierzęcia. Wyniki wytwórczości zależały przede wszystkim (abstrahując od warunków naturalnych) od pracy fizycznej człowieka i siły wołu roboczego. Ale czymże jest człowiek jako siła mięśniowa w porównaniu nie tylko z innymi potężnymi siłami przyrody, ale nawet w porównaniu z wołem lub koniem roboczym? Pokora ludzka była aż nadto usprawie-

dliwiona. Okoliczność zaś, że człowiek mimo swej słabości władał nie tylko silniejszym od siebie zwierzęciem roboczym, ale także w pewnym co prawda nieznacznym stopniu innymi siłami przyrody, przypisywał on właśnie łasce Bożej. Bóg poza i ponad światem będący, spośród wszystkich swoich stworów wybrał człowieka jako jedyną istotę, której się objawił i którą obdarzał szczególną łaską.

Te pobieżne uwagi o zasadniczej postawie człowieka w okresie feudalizmu wystarczą zupełnie dla naszych rozważań jako, że postawa ta należy dzisiaj na ogół do przeszłości *).

Inne było nastawienie mieszczaństwa wobec życia, ono żadną miarą nie należy jeszcze do przeszłości, dlatego omówimy je nieco obszerniej. Pierwszą nowością ideologiczną mieszczaństwa były jego roszczenia do prawa samodzielnego, krytycznego myślenia bez oglądania się na objawienie i autorytety. Człowiek stanął niejako na własnych nogach i nie pozwalał dalej się prowadzić za rękę przez labirynt problematyki życia. Zaczął sam bezpośrednio i wnikliwie obserwować życie we wszystkich jego przejawach. I w wyniku doszedł do szeregu nauk empirycznych, których szczytowymi punktami były mechanika Newtona, systematyka biologiczna Linneusza oraz ekonomia Smitha, Malthusa i Ricarda. Człowiek odkrył, że prawo natury rządzi wszystkimi zjawiskami. Odrzucając stopniowo dogmaty teologii albo identyfikował Boga z przyrodą jak w panteizmie (**Deus sive Natura** Spinozy) albo dochodził do deizmu w ujęciu encyklopedystów francuskich, szczególnie Voltaire'a i Russa, albo wreszcie — do konsekwentnego ateizmu. Prawo natury pojmuje on jako absolutnie niezmienne, wieczne i powszechne. Człowiek przypisuje sobie tylko skromną zasługę jego odkrycia. Odkrył je tak, jak odkrył półkulę zachodnią ziemi, i tak jak ona istniała wtedy również, gdy żaden Europejczyk o jej istnieniu jeszcze nie wiedział, tak i prawo natury istniało i rządziło światem także wówczas, gdy człowiek nie przeczuwał nawet jego istnienia. Ciała niebieskie niezmiennie krążą po swoich ustalonych odwiecznie orbitach, a ciała ziemskie ciążą ku ziemi, poszczególne osobniki rodzą się, umierają i nieustannie na nowo się rodzą według niezmiennych praw

*) Zarówno teologia jak filozofia mieszczaństwa, jako wytwory określonych klas społecznych, miały tendencje klasowe zawsze żywe i istotne, choć w rozmaitych momentach historycznych mniej lub więcej świadome i intensywne, ale tę stronę zagadnienia pomijamy w tym artykule.

morfologicznych, które odwiecznie rządzą gatunkami. Także u podstaw prawa pozytywnego i stosunków politycznych na tym prawie opartych leży niezmienne odwieczne prawo natury rządzące życiem społeczeństwa a raczej wzajemnymi stosunkami jednostek, w szczególności ich stosunkami społeczno-gospodarczymi.

Jakaż jest zasadnicza postawa człowieka przeświadczonego o tym, że odwieczne i niezmienne prawo natury rządzi wszystkimi zjawiskami? Jest ona czynna w myśli, w teorii a bierna— w czynie, w praktyce. Mądrość bowiem życia sprowadza się ostatecznie do tego, aby odkryć jak najwięcej tych praw niezmiennych i odkrywszy je, jak najściślej do nich się stosowac i z filozoficznym spokojem poddać się nieuniknionym ich wymogom. Naturę bowiem można ujarzmić tylko przez poddanie się jej: ten paradoks uważany był za szczyt mądrości w pierwszych wiekach czasów nowożytnych i jeszcze dzisiaj zapewne przeważająca większość ludzi uważa go za najpewniejszy przewodnik na drodze życia. Tak bez żadnych zastrzeżeń sformułowany — paradoks ten jest fałszywy także, jeżeli chodzi o stosunek człowieka do zjawisk natury martwej, ale najjaskrawiej występuje jego błędność w dziedzinie zjawisk społecznych. I tak np. ekonomia mieszczańska dlatego, że uważała prawa rządzące stosunkami gospodarczymi za odwieczne i niezmienne, zamykała sobie całkowicie drogę do zrozumienia mechanizmu gospodarczego, który historycznie poprzedzał ustrój kapitalistyczny. Nie mogła również ta ekonomia zdobyć się na perspektywę przyszłości. Dlatego ona uważała stosunki gospodarcze feudalizmu za zwykłą pomyłkę rodzaju ludzkiego, wynikłą z ciemnoty i nieświadomości. Wiek XVII — XVIII, uznawszy się za „oświecony", węszył wszędzie zabobon i przesąd, w naiwności swojej nie przeczuwając, że miara zabobonu i przesądu jest względna i, że wieki następne będą odpłacać wiekowi oświeconemu taką samą oceną jego poglądów i jego poczynań.

Najwyższym nakazem nie tylko mądrości życiowej, ale i cnoty stało się sławne hasło: **Laissez faire, laissez passer.** W gruncie rzeczy jest to nakaz możliwie największej bierności w dziedzinie czynu. Skutki stosowania się do tego nakazu były w każdej dziedzinie życia odmienne co do formy, ale w swej istocie podobne. W dziedzinie gospodarczej obalono w imię tego hasła średniowieczne cechy i korporacje, jako że krępowały wolną konkurencję w najmie pracy, wytwarzaniu i zbywaniu towarów. Umiejętność dobrego gospodarowania polegała na tym, aby możliwie najmniej zakłócać przez „sztuczne" prawodawstwo naturalne prawa rządzące ekonomią. Ideałem był

stan, w którym każda jednostka robi swoje pod wpływem naturalnego instynktu samozachowawczego lub świadomego interesu gospodarczego; wierzono, że prawa rządzące rynkiem towarowym ułożą odruchowe poczynania jednostek w sensowny i celowy ład. A. Smith i R. Malthus, najsłynniejsi i najbardziej wpływowi teoretycy ekonomii mieszczańskiej, byli właśnie przeświadczonymi zwolennikami bierności w dziedzinie gospodarczej. Urządzenia ludzkie mogą według nich tylko w nieznacznym stopniu wpłynąć na zło społeczne, bo ma ono swoje źródło w prawie natury i w ludzkich namiętnościach. Państwo tylko szkodzi, gdy się wtrąca w sprawy gospodarcze, i nie leży to wcale w mocy proletariatu, aby przez zarządzenie zmienić ogólne stosunki w kraju. Przy najlepszej formie rządu tysiące i tysiące obywateli nie będą miały pracy i będą przymierać głodem. Szczególnie „prawo ubogich" uważa Malthus za zgubne. Prawo to pogarsza jeszcze położenie klasy niemajętnej, zachęca ono bowiem ubogich do rozmnażania się, powiększając w ten sposób liczbę biednych wymagających wsparcia. W ten sposób zresztą „prawo ubogich" odbiera ludziom pracującym tę część żywności, którą ono przeznacza dla niepracujących. Także związki pracowników uważa on nie tylko za bezprawne, ale również za „nierozsądne" i bezskuteczne. „Istnieje bowiem właśnie pewien naturalny porządek rzeczy, którego żaden ludzki wysiłek na trwałe przełamać nie zdoła". Podobne poglądy wyznawał De Ricardo.

W dziedzinie politycznej zasada bierności występowała pod postacią przyrodzonych praw człowieka i obywatela, na które nieustannie powoływała się ideologia liberalizmu i demokracja mieszczańska. Na tych prawach przyrodzonych opierały się i opierają się pod dziś dzień podstawowe ustawy konstytucyjne, instytucje i obyczaje polityczne tej demokracji. Wolność oznacza, że prawo pozytywne nie ingeruje w prawa przyrodzone rządzące życiem jednostek - obywateli. O zharmonizowanie swobodnej gry rywalizujących ze sobą jednostek postara się już sama natura. Jeden z pierwszych nowożytnych teoretyków społeczeństwa Hobbes nader konsekwentnie tak właśnie ujmował istotę wszelkich społeczności: rodzą się one z walki wszystkich jednostek przeciwko wszystkim innym **(bellum omnium contra omnes)**. Według Locke'a i Russa wyrazem prawa natury były niespisane „umowy społeczne", którymi jednostki zrzekły się częściowo swych indywidualnych przyrodzonych praw na rzecz społeczeństwa i państwa. Te zaś niespisane umowy były wedle nich z kolei podstawą każdej ustawy konstytucyjnej. Z prawa natury wywodził Monteskiusz słynną zasadę nie-

zależności trzech naczelnych władz państwowych. Pierwsze konstytucje państw demokratyczno - mieszczańskich powołują się wyraźnie na prawo natury. „Deklaracja praw" narodu angielskiego z roku 1688 oraz traktat polityczny Locke'a z 1689 r. najdobitniej odzwierciedlają te poglądy na istotę wolności i prawa. W par. 6 tego traktatu **(Essay concerning the true orginal extent and end of civil government)** podkreśla on z naciskiem: „prawo natury stanowi odwieczny ład obowiązujący wszystkich ludzi, zarówno tych, którzy prawa ustanawiają jak tych, którzy się do nich stosują". Deklaracja niepodległości Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej z 4 lipca 1776 r. zawiera zdania żywcem przepisane z traktatu Locke'a. Także konstytucja federalna z 1787 r. oraz konstytucje poszczególnych stanów powołują się na prawo natury. Również francuska Deklaracja Praw Człowieka i Obywatela odwołuje się do niego.

Tak jak życie gospodarcze i prawo państwowe tak i zasady i nakazy moralności opierano na prawie natury. Pojawiła się etyka naturalna, która dowodziła, że istnieje „moralna konstytucja natury, która tkwi w samej istocie rzeczy". Pojęcie moralnego porządku natury uważała ona z kolei za naturalny twór myśli. Bliższa analiza tej etyki pokazuje, że w gruncie rzeczy wywodziła ona swoje zasady z naturalnych instynktów ludzkich. I tak Shaftesbury, jeden z głównych twórców etyki naturalnej, sądził, że istnieją dwa instynkty naturalne — egoistyczny i społeczny; skłonności do nienawiści, okrucieństwa i zawiści uważa za nienaturalne. Moralność polegała według niego na harmonii między obu instynktami naturalnymi. O tę harmonię dba sama natura tłumiąc instynkty nienaturalne i ukrócając przy pomocy sankcji naturalnych przerost jednego lub drugiego instynktu naturalnego. Inni znowu wywodzili zasady etyki naturalnej bezpośrednio z praw mechaniki. I tak np. Holbach w zakończeniu swojej głośnej podówczas książki pt. „System natury" utożsamia egoizm z prawem bezwładności, altruizm z siłą przyciągania, a nienawiść z siłą odśrodkową.. Wedle niego sama natura jak sprawiedliwy sędzia karze zbrodnię i wynagradza cnotę...

W dziedzinie pedagogiki, która wszak omawia sprawy, zdawałoby się, niewątpliwie wymagające aktywnej postawy ze strony wychowawcy, zasada **laissez passer** panowała nie mniej wszechwładnie. Do punktu kulminacyjnego doszła pedagogika powołująca się na prawo natury w znanej książce Russa pt. „Emil, czyli o wychowaniu". Zaleca on w niej wychowawcy całkowitą bierność wobec wychowanka. Natura bowiem sama wychowuje dziecko, a oddziaływanie wychowawcze ze strony

człowieka przeszkadza tylko naturalnemu procesowi wychowawczemu. Co więcej, dziecko jest z natury dobre, a jego zepsucie jest dziełem dorosłych i skutkiem ich wpływów. Ingerencja wychowawcy powinna ograniczyć się tylko do wyjątkowych wypadków, gdyby wychowanek zamierzał zrobić coś, co by go mogło narazić na śmierć lub kalectwo. Jest rzeczą wiadomą, że teoria biernego wychowania nie była wcale extrawagancją, jakby to na pozór mogło wydawać się nam dzisiaj, ogromna bowiem poczytność „Emila" w XVIII i XIX wieku wskazuje jak dalece był on wyrazem epoki. Zapalony zwolennik naturalistycznej pedagogiki Pestalozzi, sam również znakomity pedagog, postanowił wychować swego syna ściśle według zasad Russa i nie wtrącał się do „naturalnego procesu wychowawczego" do 10-go roku życia. Widać, że wyniki tego eksperymentu musiały być dość groźne, skoro Pestalozzi stosunkowo prędko się z niego wycofał.

Laissez passer! Le monde va de lui-même! Odkrywać w każdej dziedzinie życia kierujące prawa natury, a odkrywszy je nie wtrącać się do nich! W życiu moralnym polegać na instynktach, odruchach, w życiu politycznym biernie poddawać się obowiązującemu prawu! W dziedzinie gospodarczej kierować się własnym interesem! W życiu religijnym zaniechać praktyk religijnych i uprawiać kult natury i objawiającego się w jej prawach ładu! Niewątpliwie takie byłyby naczelne nakazy człowieka oświeconego w wieku XVII i XVIII-ym, gdyby w całej pełni był mógł uświadomić sobie konsekwencje wynikające z jego postawy wobec życia. Ale jak to zwykle bywa, człowiek wieku oświecenia tylko częściowo i niezupełnie uświadamiał sobie istotę swojej postawy wobec życia. Jak w okresie feudalizmu tylko nieliczni mogli oddawać się czystej kontemplacji, tak i wśród mieszczaństwa tylko w salonach i na dworach panowała aura wieku oświecenia. Do szerokich mas ludu dochodziły stamtąd tylko echa i strzępy myśli zbyt słabe, aby mogły zarazić go kwietyzmem epoki. Toteż lud w miastach dorabiał się gospodarczo, awansował społecznie i w końcu dokonał przewrotu politycznego w latach Wielkiej Rewolucji Francuskiej, zdobywając władzę i wciągając w swoją żywiołową aktywność znaczną część elity umysłowej.

Zasadnicze stanowisko wieku oświecenia, które wyżej naszkicowaliśmy, doszło bowiem właśnie najdobitniej do samoświadomości w Niemczech, szczególnie w filozofii Kanta. Filozofia ta, określając sama siebie jako krytycyzm, dzieli swój zakres myśli na dwa działy: na krytykę poznania teoretycznego i na krytykę praktyki. W teorii poznania filozofia ta ustala

granice, których rozum ludzki przekroczyć nie może; poza tymi granicami znajdują się zagadnienia metafizyczne takie jak istnienie Boga, nieśmiertelność duszy itp. Jednocześnie jednak wykazuje ona, że nie przekraczając owych granic umysł ludzki dochodzi do prawd powszechnie ważnych, jak tego dowiódł w naukach matematyczno-fizykalnych. Natomiast zagadnienia etyki, zagadnienia dobra i zła, celu i sensu życia nie dają się według Kanta rozwiązać przy pomocy rozumu teoretycznego, tak że jedynym drogowskazem człowieka w tych sprawach pozostaje sumienie indywidualne, które on nazywa kategorycznym imperatywem. Ponieważ kategoryczny imperatyw Kanta jest z istoty swej czysto formalny i nigdy nie daje konkretnej odpowiedzi na pytanie, co należy czynić a czego unikać, cała etyka Kanta wykazuje jałowość zamaskowaną misterną terminologią. Po odrzuceniu owej terminologii okazuje się, że jest ona sformułowaniem owej bierności i niezaradności wobec problematyki życia, która cechowała wiek oświecenia *).

Powstanie owej bierności idącej w parze z dużą aktywnością teoretyczną wytłumaczyć można socjologicznie warunkami wytwórczymi tej fazy ustroju mieszczańskiego, która się określa jako wczesny kapitalizm. Wspomnieliśmy wyżej, że wytwórczość w epoce feudalizmu opierała się głównie na wysiłku mięśniowm człowieka. Z powstaniem miast punkt ciężkości przesunął się w wytwórczości z siły mięśniowej na narzędzia pracy. Narzędzia średniowiecznego rzemieślnika wydają się nam dziś prymitywne i są rzeczywiście takie w porównaniu z dzisiejszą produkcją maszynową. Nie mniej jednakże zarówno ich wynalezienie i skonstruowanie jak i posługiwanie się nimi wymagało dużego wysiłku umysłowego. Jest rzeczą niewątpliwą, że wynalezienie średniowiecznego, prymitywnego czółenka tkackiego było większą sztuką, aniżeli skonstruowanie nowoczesnych maszyn tkackich, które wszak są tylko rezultatem powolnego udoskonalania owego prawzoru. Także posługiwanie się prymitywnym narzędziem wymaga bardziej samodzielnej pracy umysłowej, bez porównania bardziej, aniżeli tak częste dzisiaj bezmyślne, automatyczne obsługiwanie nowoczesnych maszyn przez robotnika fabrycznego. Samo więc konstruowanie narzędzi rzemieślniczych i stałe posługiwanie się nimi musiało bezpośrednio przyczynić się do silnego rozwoju kultury umysłowej.

---

*) Sprawę tę poruszył u nas Jan Władysław Dawid w książce p.t.: „Inteligencja, wola i zdolność do pracy".

Ale narzędzia te przyczyniły się do tego i pośrednio. Bez busoli nie byłoby odkryć geograficznych, a bez lunety — odkryć astronomicznych. Znowu bez znajomości nowych lądów nie byłaby się rozwinęła systematyka biologiczna, a bez możności obserwowania ciał niebieskich — nie byłaby powstała mechanika Galilei'ego i Newtona. Otóż luneta mogła zostać wynaleziona tylko wówczas, gdy istniała szeroka rozbudowana produkcja szkła i wyrobów szklanych. Produkcja ta była rzeczywiście bardzo rozpowszechniona w ostatnich wiekach średniowiecza. Budowle w stylu gotyckim wymagały dużo szkła. A nasze współczesne precyzyjne narzędzia optyczne wywodzą się wszystkie z produkcji okularów, na które w średniowieczu pojawiło się duże zapotrzebowanie. W wąskich ulicach ówczesnych miast, okolonych stosunkowo wysokimi domami, panował niemal stale półmrok, zwłaszcza w krajach obfitujących w mgły. Ta okoliczność oraz wadliwe i niedostateczne oświetlanie warsztatów pracy wywołało w późnym średniowieczu nieznaną dawniej krótko- i dalekowzroczność wymagającą adaptacji za pomocą okularów. Toteż szlifowanie szkieł optycznych bardzo się rozpowszechniło i stało się zajęciem nader dochodowym. Wiadomo np., że tacy luminarze nauki jak Spinoza i Huygens zajmowali się tym rzemiosłem, a Spinoza nie chciał wyrzec się tego fachu nawet dla proponowanej mu profesury w słynnym podówczas uniwersytecie w Heidelbergu. Ta rozległa produkcja szkła i wyrobów szklanych, zwłaszcza wyrabianie optyki dla powszechnego użytku, umożliwiła wynalezienie i skonstruowanie jeszcze bardziej precyzyjnych narzędzi optycznych, jakie były potrzebne do obserwacji ruchu ciał niebieskich. W wypadku Huygensa mamy nawet charakterystyczną i wiele mówiącą unię personalną rzemiosła i nauki: znakomity ten fizyk nie tylko zajmował się szlifowaniem szkieł ale jednocześnie uprawiał kunszt zegarmistrzowski.

Odkrycie i sformułowanie prawa grawitacji pozostawało w związku z ważeniem, które ze wzrostem handlu coraz większą rolę odgrywało w życiu gospodarczym. Z powodu niskiego stanu techniki średniowiecznej pieniądz, srebrny i złoty, nie był znormalizowany ani co do wagi, ani co do kształtu i znaków; często zresztą handel średniowieczny dokonywał się za złoto niemonetarne. W tych warunkach ważenie złota było cenną umiejętnością, którą tylko nieliczni posiadali; do końca średniowiecza celowali w niej kupcy włoscy zwani w Europie lombardami oraz Żydzi. Otóż teoria grawitacji to nic innego, jak ważenie w myśli ciał niebieskich, albo innymi słowy jest to nadbudowa teoretyczna o zasięgu kosmicznym owej pospolitej

i przyziemnej czynności gospodarczej, jaką była próba i waga złota. Ważenie bowiem, szczególnie złota, musiało być nadzwyczaj subtelne („na wagę złota") wobec wysokiej ceny tego kruszcu przed odkryciem Ameryki *). Manipulowanie związane z ważeniem musiało bez wątpienia skierować umysł ludzki na zagadnienia ciężaru właściwego, masy itd.

Znowuż statyka, czyli nauka o równowadze ciał, rozwinęła się z początkiem czasów nowożytnych pod wpływem budownictwa, szczególnie gotyku. Podczas gdy budowle w stylu romańskim swoją masywnością tak doskonale harmonizują z wytwórczością, która posługuje się głównie siłą mięśniową jako energią pracy, to styl gotycki odpowiada produkcji, w której ważniejszym czynnikiem aniżeli siła mięśniowa jest „sztuczne" narzędzie pracy i umiejętność precyzyjnego władania nim. W strzelistych budowlach gotyckich główny problem architektoniczny polegał na opanowaniu siły ciążenia i znalezienia trwałej równowagi między poszczególnymi elementami budowli. Można powiedzieć, że budownictwo gotyckie było statyką w praktyce, w rzemiośle statyka jako nauka jest tylko teoretyczną nadbudową i pojęciowym uogólnieniem doświadczenia nabytego w budownictwie. Natomiast styl renesansowy wysuwa na pierwszy plan rozmieszczenie poszczególnych elementów budowli według symetrii i proporcji oraz konstruowanie wnętrz, tworzących regularne bryły geometryczne lub ich części (szczególnie sześcian, czasza itp.). Rozwój geometrii w wieku XVII, wynalezienie i usystematyzowanie geometrii analitycznej oraz teoria fizykalna sprowadzająca wszystkie zjawiska do ruchu czyli do zmiany położenia geometrycznego — wyrosły z owego budownictwa renesansowego.

Z powyższych fragmentarycznych wywodów widać, że stosunki wytwórcze i handel późnego średniowiecza i pierwszych wieków nowożytnych stanowiły materialny grunt, na którym rozwinął się wielki ruch naukowy i umysłowy, tradycyjnie określany jako humanizm i racjonalizm. Ale te same warunki wytwórcze, tak bardzo sprzyjając teoretycznemu ruchowi umysłowemu jednocześnie emanowały ową aurę bierności wobec problematyki życia, którą wyżej naszkicowaliśmy. Narzędzia pracy pozostały przez cały ten czas — prymitywne mimo postępu w porównaniu z feudalizmem. Wprawdzie w w. XVI — XVIII pojawiają się i rozpowszechniają nowe for-

*) Po odkryciu Ameryki, skąd dużo złota napływało do Europy, wartość nabywcza tego kruszca znacznie spadła.

my wytwarzania. Obok tradycyjnego rzemiosła cechowego, jedynej formy wytwarzania w średniowieczu, pojawia się w tych wiekach manufaktura, tj. taka organizacja pracy, gdzie większa lub mniejsza liczba robotników pracuje w jednym budynku pod nadzorem przedsiębiorcy. Stanowi ona stopień przejściowy między przemysłem domowym a fabrycznym, od pierwszego różniąc się tym, że ma oddzielne (od mieszkania) pomieszczenie dla pracy, od drugiego — że nie posługuje się maszynami i silnikami. Ale jakkolwiek ta nowa forma wytwarzania pojawia się już w w. XVI, to jednak do końca wieku XVIII decydującą rolę w wytwórczości odgrywa ciągle jeszcze przemysł domowy. Mimo różnicy między przemysłem domowym i manufakturą a rzemiosłem średniowiecznym, wszystkie te formy produkcji mają wspólną cechę znamienną dla owych czasów: niską technikę wytwarzania. Wprawdzie przemysł domowy stwarza znacznie większy podział pracy aniżeli rzemiosło, bo wprowadza on podział pracy między poszczególne warsztaty w obrębie tego samego rodzaju wytworów. To, co w średniowieczu wyrabiał jeden rzemieślnik, to w w. XVII—XVIII rozłożone jest nieraz na kilka warsztatów chałupniczych, z których każdy wyrabia produkt tylko częściowo, oddając go następnemu warsztatowi do dalszego wykonania. Manufaktura rozwija podział pracy jeszcze bardziej, rozkłada ona bowiem robotę jednego warsztatu na kilku robotników manufakturowych. Ale praca ręczna zachowała się wszędzie, techniczne metody wytwarzania i używane narzędzia nie uczyniły prawie żadnych postępów w porównaniu ze średniowieczem. A jest to okoliczność nader ważna, choć dotychczas mało uwagi na nią zwrócono.

Prymitywność bowiem narzędzia pracy sprawiała, że obsługiwane ono było przez jednego i tylko jednego człowieka; tak było w rzemiośle średniowiecznym, tak zostało w chałupnictwie i manufakturze do końca XVIII w. W zasadzie człowiek jest sam na sam z narzędziem pracy, jako jego manipulator i jako jego właściciel. Pod pewnym względem to sam-na-sam rzemieślnika z narzędziem pracy jest w pierwszych wiekach nowożytnych jeszcze większe, aniżeli było w średniowieczu. Wtedy bowiem istniały cechy, które miały większy lub mniejszy nadzór nad człowiekiem i jego narzędziami pracy Cech niewątpliwie w niejednym krępował majstra, ale zarazem dawał mu poczucie przynależności do zorganizowanej społeczności, co w dużym stopniu łagodziło jego gospodarcze osamotnienie. W wiekach XVII — XVIII cechy i korporacje rozpadają się jużto samorzutnie, jużto pod naciskiem władzy

państwowej, która jednocześnie tłumi w zarodku wszelkie próby stworzenia nowych organizacji robotniczych, przystosowanych do nowych form wytwórczości.

To sam-na-sam człowieka wobec tej rzeczy, która jest dla niego najważniejsza, bo stanowi o jego egzystencji, stało się prototypem jego stosunku do każdej innej rzeczy i do świata w ogóle. Człowiek był sam-na-sam wobec świata. To kształtowało jego ustrój prawno-polityczny, jego pogląd na świat i zasadniczą postawę wobec życia. Stąd zrodził się ustrój polityczny, opierający wszystko na jednostce i widzący w społeczeństwie i państwie tylko sumę arytmetyczną jednostek, związanych konwencją, umową czy kontraktem, który w każdej chwili może być rozwiązany. Sublimacją tego stosunku człowieka do narzędzia pracy była ideologia politycznego i ekonomicznego liberalizmu mieszczańskiego. Dlatego i etyka tych wieków nie może wyjść poza jednostkę: ocenę bowiem tego co czynić należy jako dobro, a co zwalczać jako zło pozostawia ona beztreściwemu imperatywowi kategorycznemu, nieuchwytnemu sumieniu ludzkiemu, lub wreszcie irracjonalnemu instynktowi moralnemu jednostki. Jeżeli chodzi o religię, to deizm jako „religia oświecona" albo jako „religia naturalna" był typowym wyznaniem wiary owych czasów. Voltaire określił deizm jako **religion de tout le monde.** Ale najbardziej charakterystyczna jest masoneria, która była, jak wiadomo, odmianą deizmu. Szczególnie pouczające są podstawowe wyobrażenia religijne, symbolika liturgiczna i swoista hierarchia organizacji masońskiej; bardzo charakterystyczna jest również sama nazwa *). Ktokolwiek głębiej się w to wmyśli, odkryć musi ku swemu zdumieniu, jak bliskie są sobie tak bardzo na pozór od siebie oddalone dziedziny życia, jak rzemiosło i religia. Bóg—to Wielki Budowniczy świata, i jego narzędziami pracy są siły przyrody, których symbolami są młot i kielnia. Z materii Wielki Budowniczy zbudował naturę, której cząstkę stanowi także człowiek; a w naturze tej wszystko idzie składnie jak w doskonałym zegarze, wedle odwiecznych, niezmiennych praw. Porównywanie świata z zegarem, a Boga z potężnym zegarmistrzem, który zbudował zegar — kosmos, opatrzył go siłą grawitacji i nadał mu bieg inercjalny, którego nawet sam zmienić nie może, to porównanie było bardzo rozpowszechnione wśród ludzi wieku XVII — XVIII. Wszystkie te fantastyczne wyobrażenia Boga wydają nam się dzisiaj naiwne i bezsensowne, a cała symbolika masonerii, szczególnie dziwaczna jej

---

*) Maçon znaczy mularz.

hierarchia organizacyjna żywcem zaczerpnięta z średniowiecznych zwyczajów w rzemiośle — uważana jest za dziecinną maskaradę. Ale na tle stosunków wytwórczych epoki nabierają one głębokiego sensu: są to, że tak powiemy, metafizyczne symbole wczesnego kapitalizmu.

Rozwój nauk przyrodniczych doprowadził do odkrycia praw natury, które niezmiennie i powszechnie rządzą wszystkimi zjawiskami, także tymi, które składają się na psychofizyczne życie człowieka. Cóż może zdziałać człowiek w takim świecie? Najwyższy wyczyn, na który zdobyć się może, to obserwować biernie bieg natury. Biegu tego przecież sam stwórca nawet zmienić nie może. Tak oto powstał ów nieprzezwyciężony dualizm teorii i praktyki, myśli i czynu, nauki i polityki, rozumu i woli, faktu i wartości. Niewątpliwie, bierność w życiu jest rzeczą niemożliwą, bo nawet wstrzymanie się od działania jest również działaniem. Toteż i w wieku oświecenia człowiek nie zakładał rąk, o jego działalności świadczą nie tylko pomniki, które pozostawił po sobie, ale i my sami ludzie wieku XX, którzy bez wieku oświecenia nie bylibyśmy tym, czym jesteśmy. Ale wiek ten nie umiał budować planów i ustanawiać celów w daleką przyszłość sięgających i mimo, że tak dumnie się obnosił ze swoim oświeceniem i racjonalizmem, przeważnie działał bezwiednie i pod wpływem odruchów.

Typ umysłowy ukształtowany w atmosferze moralnej i intelektualnej przetrwał wszystkie przemiany kulturalne wieku XIX i XX i po dziś dzień przeważa w Europie wśród intelektualistów. Cechuje go śmiałość granicząca z zuchwałością i niewątpliwie płodna twórczość w dziedzinie teorii, ale bierność granicząca z tchórzostwem i anormalną niezaradnością w dziedzinie praktyki życia codziennego. Postać niezaradnego, nieżyciowego roztargnionego profesora, stała się przysłowiowa na całym świecie. Szczególnie rozpowszechniony był ten typ intelektualisty wśród uczonych niemieckich. Bierność polityczna elity umysłowej w Niemczech w czasie pierwszej wojny światowej i podczas reżimu hitlerowskiego jest powszechnie znana i przyczyniła się w niemałym stopniu do katastrofy kultury niemieckiej.

Ta postawa wobec życia bynajmniej nie należy jeszcze do przeszłości. Jest ona i dzisiaj bardzo rozpowszechniona, i to tym bardziej im wyżej wznosimy się w hierarchii kultury umysłowej; można nawet bez złośliwości powiedzieć, iż jest ona specjalnością sfer akademickich. „Akademicka dyskusja..." w tym tak pospolitym powiedzeniu zawarta jest, jak w każdym niemal słowie języka, — mądrość i doświadczenie wieków.

Oto np. rozpowszechnione, szczególnie wśród tzw. inteligencji, odróżnianie nauki od polityki. „To jest polityka", mówią z dyskretną pogardą, — „nauka, szkoła, a nawet sztuka, powinny być apolityczne". Zapominają przy tym, że polityka to nic innego jak ogół zamierzeń i zabiegów o rozwiązanie najistotniejszych zagadnień życia. „Ale zagadnienia te", argumentują oni dalej, „powstały z namiętności i same z kolei rodzą nowe namiętności". Niewątpliwie, ale jakże może być inaczej, gdy nauka nie uważa spraw politycznych za swój zakres. Jakoś przecież te sprawy polityczne muszą być rozwiązane, więc się je właśnie rozwiązuje odruchowo i pod wpływem namiętności. Albo odwrotnie: tzw. ludzie czynu mówią z przekąsem „to jest teoria", albo „teoria jest teorią, a życie życiem", robiąc przy tym charakterystyczny gest bezradnego rozkładania rąk. Albo się słyszy powiedzenie: „to są sprawy poglądu na świat"; mówiąc to mają na myśli, że zasadnicza postawa wobec całokształtu życia jest sprawą nie tylko osobistą ale subiektywną, emocjonalną. Naukę natomiast uważa się za obiektywną.

Otóż marksizm przeciwstawia się temu dualizmowi myśli i czynu, teorii i praktyki, poglądu na świat i nauki, a przeciwstawienie to jest ostrzejsze i swym zasięgiem szersze aniżeli opozycja jego wobec idealizmu. Bynajmniej bowiem nie cała filozofia europejska do początku w. XIX była idealistyczna. Wręcz przeciwnie, idealizm był tylko jednym z wielu systematów filozoficznych, które wyrosły na gruncie wczesnego kapitalizmu i miał stosunkowo nieduży zasięg wpływów *). Systemy materialistyczne albo z odcieniem materializmu przeważały ilością i znaczeniem. Natomiast cała filozofia europejska do połowy XIX w., zarówno materialistyczna jak i idealistyczna, nacechowane były owym dualizmem: aktywności w myśli — bierności w działaniu. Prostą antytezą tego dualizmu jest materializm dziejowy. Jest on bowiem właśnie d z i e j o w y, a nie historyczny. Przymiotnik „dziejowy" i czasownik „dziać się" i czasownik „działać" wywodzą się ze wspólnego źródłosłowu. Nie o opisanie martwej przeszłości chodzi marksizmowi, ale o żywą aktywność jednostek, klas, społeczeństw i narodów, o aktywność współczesną jako też tę, z której ta współczesna się wywodzi. Toteż w swoich pismach Marks nieustannie wojuje nie tylko z idealizmem Hegla, ale także i materializmem

*) Absolutny idealizm Hegla jest zresztą mieszaniną rzeczy starych wywodzącyęh się z tradycyjnej filozofii i nowych — które zapowiadały nową postawę człowieka wobec życia.

Feuerbacha, epigona filozofii w. XIII. Zarzuca on Feuerbachowi, że jego materializm jest czysto opisowy, i że rozpatruje on niemal wyłącznie teoretyczne myślenie człowieka, jego teorię poznania. Podkreśla on, że w czysto przyrodniczych poglądach Feuerbacha na człowieka trwa w dalszym ciągu dualizm teorii i praktyki tak, jak zastygł on w wieku XVIII. „Feuerbach, pisze Marks, chce mieć do czynienia z konkretnymi przedmiotami istniejącymi w rzeczywistości, a nie tylko w naszych myślach. Ale nie dochodzi on zupełnie do poglądów dotyczących obiektywnej działalności człowieka. Dlatego w „Istocie Chrześcijaństwa" rozpatruje on tylko teoretyczne czynności umysłu ludzkiego, który uważa za prawdziwie ludzkie". Tymczasem wedle Marksa wszelka krytyka teoretyczna powinna równocześnie być działalnością, praktyką rewolucyjną, która przekształca rzeczywistość. Dotyczy to także filozofii. Dlatego ta filozofia, która czysto biernie i wyłącznie pojęciowo ujmuje rzeczywistość powinna być unicestwiona.

Tak to Marks ma dwa ostrza, z których jedno kieruje on przeciwko rzeczywistości gospodarczo - społecznej kapitalizmu, a drugie — przeciwko filozofii wieku oświecenia. Ponieważ do połowy XIX w. innej filozofii prawie nie było, Marks bardzo często mówi ostro o filozofii w ogóle. Mówi zresztą o unicestwieniu filozofii dialektycznie: „filozofia zostanie unicestwiona, gdy zostanie wprowadzona w życie". Jednocześnie z materializmem filozoficznym zwalcza Marks i materializm wulgarny. Temu wulgarnemu materializmowi zarzuca Marks, że zadawala się on twierdzeniem, iż człowiek jest produktem warunków otoczenia i wychowania i że zmieniony człowiek okaże się produktem zmienionych warunków i zmienionego wychowania. Wulgarny materializm zapomina, że to właśnie ludzie zmieniają warunki otoczenia i środki wychowania. O przekształcanie warunków otoczenia głównie przecież chodzi. „Filozofia dotąd wyjaśniała świat tak czy owak, a główna rzecz polega na tym, aby go zmienić". Cała filozofia łącznie z materializmem Feuerbacha analizuje rzeczywistość jako przedmiot obserwacji, a nie jako przedmiot oddziaływujący na przedmioty zewnętrzne. Tymczasem owładnięcie światem przy pomocy myśli i wyjaśnienie człowiekowi sensu jego poczynań stanowi istotę praktyki rewolucyjnej i cel krytyczno - praktyczny działalności dziejów: klasy, narodów, ludzkości.

* * *

Czas podsumować wywody. Zadaniem ich było zwrócić uwagę na zagadnienie mało omawiane, na istotną mianowicie różnicę, która zachodzi między materializmem filozoficznym

przed Marksem i materializmem wulgarnym a materializmem dziejowym. Różnica ta jest nie mniej ważna aniżeli to, co różni materializm dziejowy od idealizmu. Materializm wulgarny wychodzi z założenia, że ogół warunków materialnych kształtuje człowieka zarówno w sensie biologicznym jak historyczno-kulturalnym. Materializm zaś dziejowy formułuje swój zasadniczy problem zgoła inaczej. „W jaki sposób warunki materialne mogą być zmienione przez ludzi, skoro ludzie sami są wytworem warunków materialnych?”

Paradoksalność tego sformułowania okazuje się pozorna w oświetleniu genezy marksizmu na tle nowych warunków wytwórczych, które powstały na przełomie w. XVIII — XIX oraz przy bliższym zapoznaniu się z jego metodą *) i argumentacją. Ale omówienie tych spraw nie zmieściłoby się w ramach, siłą rzeczy szczupłych, niniejszej pracy. Dlatego ograniczyliśmy się tylko do wykazania, że zasadnicza postawa Europejczyka wobec życia z rozwojem jego dziejów ulegała gruntownym przemianom. W okresie feudalizmu zdawał się on na autorytety i na łaskę opatrzności. Mieszczaństwo usamodzielniło się w czystej teoretycznej myśli, ale w działalności swej czuło się przytłoczone przez wszechmoc natury. Natura zajęła miejsce Boga, nakazy religii zostały zastąpione przez „prawo natury”, a teologia przez metafizykę natury. Dopiero w socjalizmie człowiek uświadamia sobie, że nie tylko myśl ale i działalność jest domeną wolności ludzkiej. W naukowym socjalizmie dokonała się synteza myśli i czynu, nauki i polityki, teorii i praktyki, faktu i wartości. Z lotu ptaka ujmując dzieje kultury można powiedzieć, że jej postęp polega na coraz większej samodzielności człowieka. W humanizmie i racjonalizmie człowiek zgłosił roszczenia do samodzielności i wolności myśli. Od połowy w. XIX człowiek zgłasza również roszczenia do samodzielności i wolności w działaniu. Odrzuciwszy metafizykę natury uważa odtąd za swoje zadanie nie tylko poznawać przyrodę ale opanować ślepe, żywiołowe siły w rzeczach martwych, organizmach żyjących i w samym człowieku. Jednocześnie doszedł on do świadomości, że zadania tego nie może dokonać jako jednostka, ale tylko jako zorganizowana zbiorowość, działająca według naukowo ułożonych planów. Wyzwolenie się człowieka to istotny sens socjalizmu. W tym sensie jest on humanizmem w głębszym tego słowa znaczeniu. Marksizm był pierwszym dojrzalszym wyrazem tego humanizmu.

*) Metoda dialektyki materialistycznej została pokrótce omówiona przez autora w poprzednim numerze „Lewego Toru”.

WINCENTY BANAŚ

W stulecie powstania krakowskiego

Przewaliła się przez ziemię polską burza powstania listopadowego. Zamilkły już grzmoty armat, znikły z nieboskłonu łuny pożarów, palących się miast i wsi polskich. Nastał okres martwej ciszy. Życie powoli wracało do normalnych czasów. Nic się pozornie nie działo. A jednak właśnie ten okres ciszy, ciszy pozornej, był w dziejach polskiego narodu najbardziej płodny dla rozwoju myśli politycznej, był okresem zrodzenia się i ugruntowania teorii konsekwentnej demokracji. Bo właśnie ten okres wydał takich tytanów polskiej myśli demokratycznej, jakimi byli Henryk Kamieński, Edward Dembowski czy ksiądz Piotr Ściegienny.

Upadło powstanie listopadowe, załamało się pod ciężarem popełnionych błędów, największym z nich był — nie zdobycie się na rozwiązanie sprawy w tym okresie najbardziej palącej, jak wrzód od wieków wzbieranej — sprawy chłopskiej. Przebieg powstania listopadowego stanowił potwierdzenie prawdy, że tylko zwolnienie chłopa od pańszczyzny, tylko obdarowanie go ziemią, tylko uczynienie z niego pełnowartościowego obywatela może być gwarancją powodzenia czynu zbrojnego narodu. Nie mogli jednak przecież tego dokonać ci, którzy przeciw zaczątkom reformy społecznej konstytucji 3 Maja wywołali haniebne widmo Targowicy, ci sami, którzy w dwa lata później, garnących się do szeregów wojskowych insurekcji chłopów groźbą i batem napędzali do pańszczyzny, ani też ci, którzy w pierwszych dniach powstania listopadowego ujęli władzę poto, aby do Konstantego czy Mikołaja wysyłać poselstwo z propozycją zduszenia „buntu pospólstwa".

Zakończył się w roku 1835 ostatecznie etap krystalizowania się myśli poltycznej polskiej emigracji popowstaniowej. Towarzystwo Demokratyczne i organizacja „Lud Polski — Gromada Grudziąż" wypracowały ideologię demokratyzacji ustroju szlacheckiego, wypracowały jedyną drogę, która wiodła do wolnej niepodległej Ojczyzny, poprzez pogłębiony proces reform społecznych, poprzez uwolnienie chłopa od pańszczyźnianego jarzma, poprzez obdarowanie go pańszczyźnianą ziemią.

Głucho w przedwrześniowych podręcznikach historii o czasach popowstaniowych na ziemiach polskich. A przecież czasy te właśnie tętniły życiem, one przecież wyzwoliły z okowów

wolną myśl, one, brzemienne wypadkami zrodziły zbrojny poryw roku 1846 w Rzeczypospolitej Krakowskiej, czy roku 1848 w Wielkopolsce.

Zarzucano chłopu polskiemu bierny udział w zbrojnej walce narodu polskiego o wolność, o zerwanie pęt niewoli. Nie mogła wprawdzie oficjalna nasza historiografia pominąć milczeniem Racławic, byłoby to już jawnym przeciwstawieniem się historycznej prawdzie. Ale w powstaniu listopadowym nie ma już, według podręczników, chłopa w szeregach wojskowych, mimo że okryty bohaterską sławą pułk czwarty właśnie z chłopów-ochotników się składał. A w dalszych latach o masowym udziale chłopów we wszystkich ruchach niepodległościowo-rewolucyjnych najlepiej świadczą więzienia zapchane skatowanym ludem, świadczą wykazy osób pędzonych na Sybir do kopalń Nerczyńska czy Aleksandrowska. Chłopu polskiemu patentu na patriotyzm nikt wystawiać nie może, bo tego patriotyzmu zaprzeczyć się nieda. Zdobył go sam, zdobył z bronią w ręku na polu walki, zdobył poprzez męki więzienia i wygnania. Chłop polski zawsze był gotów do najwyższych ofiar, łączył się zawsze z ruchami postępu, od niego oczekując słusznie rozwiązania najbardziej palących problemów swego losu. Chłop polski zawsze był gotowy do walki z okupantem. do walki o wolność, dążył także do tego, aby mógł stanąć do walki już wolny od pańszczyźnianych pęt, aby mu dano walczyć w obronie całego narodu i swego interesu. Zapał chłopa do walki trwał tak długo, dopóki reakcja nie zburzyła doszczętnie jego nadziei. Ci, którzy tak chętnie stroili się w piórka wyłącznego umiłowania sprawy ojczystej, których usta zawsze pełne były frazesów patriotycznych, ci, którzy nie tylko władzę nad narodem uzurpowali sobie, ale nawet myśleć za naród chcieli, właśnie ci, możnowładcy, trzymając chłopa w kleszczach pańszczyzny i daremszczyzn w tym momencie, kiedy chłop zrywał się do walki o swoją i narodu wolność, robili wszystko, aby w zarodku zdusić chłopski poryw. A kiedy chłop wyczerpał wszelki zapas cierpliwości, kiedy porwał się na krok rozpaczy umiejętnie wyzyskany przez wrogów narodu, wtedy tylko ponura pieśń „Z dymem pożarów z kurzem krwi bratniej” rozbrzmiewała wśród ludzi, którzy chłopa do stanu rozpaczy doprowadzili. I w tym czasie jednak, gdy zaczęły płonąć dwory szlacheckie w okolicach Tarnowa, o kilkadziesiąt kilometrów dalej na zachód i na południe rozgorzało powstanie narodowe. w którym chłop i górnik z chłopa wywodzący się, najbardziej aktywną odegrał rolę.

8 stycznia 1846 r. odbył się w Krakowie, stolicy niezależnej

rzeczypospolitej krakowskiej, zjazd przywódców ruchu demokratycznego, kierowanego przez Towarzystwo Demokratyczne w Paryżu. Zjazd ten, obejmujący przedstawicieli wszystkich zaborów, miał zadecydować o terminie wybuchu powstania narodowego, które, według planów, objęło by swymi płomieniami jednocześnie Poznańskie, Pomorze, Prusy Wschodnie, Królestwo Polskie, Galicję, Rzeczpospolitą krakowską i resztę ziem, wchodzących ongiś w skład państwa polskiego. Miało to więc być powstanie ogólnonarodowe przeciw trzem zaborcom. Na zjeździe krakowskim oznaczono termin wybuchu powstania na noc z 21 na 22 lutego 1846 r. Wyłoniono także Rząd Narodowy, w skład którego weszli: z ramienia Centralizacji Towarzystwa Demokratycznego w Paryżu — Alcjata; z ramienia organizacji poznańskiej — Karol Libelt; z ramienia organizacji krakowskiej — Ludwik Gorzkowski; z Galicji wreszcie — Jan Tyssowski. Na sekretarza Rządu Narodowego został wybrany Wiktor Heltman; Rząd Narodowy miał dokooptować do swego składu przedstawicieli Królestwa Kongresowego i innych ziem Rzeczypospolitej. Według instrukcji, wypracowanej przez Rząd Narodowy dla delegatów w poszczególnych prowincjach, szczególny nacisk został położony na werbunek chłopów do szeregów powstańczych. Instrukcje polecały zwoływanie zebrań chłopskich po gminach, na których miała być wygłoszona zasada bezpłatnego zniesienia pańszczyzny, czynszów i daremszczyzn. Chłopom miała być na własność przyznana ziemia, którą faktycznie w jakiejkolwiek formie już posiadali. Każdy bezrolny chłop, który chwyci za broń przeciw okupantowi, miał być obdarowany pięcioma morgami ziemi obszarniczej. Poza tym wszystkim miało być zorganizowane na wsiach bezpłatne rozdawnictwo roli. Był to program, który w zupełności chłopa zadawalał.

Praca rewolucyjna ruszyła pełną parą. Czasu już było niewiele, to też inicjatorzy powstania nie bardzo się nawet konspirowali. Nic więc dziwnego, że władze okupacyjne w Galicji i Poznańskim wpadły rychło na trop spisku. 12 lutego został w Poznaniu aresztowany Ludwik Mierosławski, przeznaczony na wodza powstania. Znaleziono u niego materiał kompromitujący. W Poznańskim na skutek masowych aresztów — organizacja prawie przestała istnieć. Osłabieniu uległ też kontakt z Królewcem, który właśnie wielkopolska organizacja utrzymywała. Wśród organizatorów powstania zaczęła przeważać opinia za odłożeniem terminu wybuchu.

18 lutego 1848 roku, na skutek wiadomości otrzymanych z Wielkopolski, wojska austriackie pod wodzą generała Collina, wkraczają na teren rzeczypospolitej krakowskiej. Bawiący

w tym czasie w Krakowie członkowie Rządu Narodowego — Alcjata, Tyssowski i Gorzkowski, postanowili odwołać termin wybuchu powstania i w myśl tego postanowienia rozesłali odpowiednie instrukcje do Poznania, Warszawy i Lwowa. Wywołało to olbrzymie wzburzenie wśród elementów demokratycznych, które słyszeć nawet nie chciały o odłożeniu terminu, wprowadziło też nieopisany chaos. Może też to niezdecydowanie przywódców stało się głównym powodem wypadków w nocy z 18 na 19 lutego w powiecie Tarnowskim, kiedy płonęły dwory szlacheckie podpalone przez chłopów znów zawiedzionych w swoich nadziejach, doprowadzonych do kresu rozpaczy.

Mimo wszystko jednak, mimo chwiejnego stanowiska członków Rządu Narodowego, walka zbrojna rozpoczęła się w dniu 20 lutego 1846 roku. Rozpoczął ją polski chłop, polski górnik, napadami na oddziały wojska austriackiego w Chrzanowie, Jaworznie i Krzeszowie. Oddziały zostały rozbite. Po zwycięskich utarczkach, chłopsko-robotnicze oddziały, uzbrojone w zdobytą na Austriakach broń, ruszyły na Kraków. Pod miastem połączyły się z silnymi oddziałami górników salin wielickich. Wieczorem 22 lutego 1846 roku, pod naporem wdzierających się do miasta oddziałów powstańczych, Collin wycofuje wojska austriackie do Podgórza, a następnie w stronę Wadowa. Rzeczpospolita krakowska została oczyszczona z wojsk okupanta.

22 lutego 1846 roku ukonstytuował się w Krakowie nowy Rząd Narodowy. W skład rządu weszli: Gorzkowski, Tyssowski, Grzegorzewski jako przedstawiciel Królestwa Kongresowego oraz Karol Rozgowski jako sekretarz rządu. W wydanym w tym dniu przez Rząd Narodowy manifeście czytamy: „Jest nas dwadzieścia milionów. Powstańmy jak mąż jeden, a potęgi naszej żadna nie przemoże siła, będzie nam wolność, jakiej dotąd nie było na ziemi, wywalczymy sobie skład społeczeństwa, w którym każdy podług zasług i zdolności z dóbr ziemskich będzie mógł użytkować, a przywilej żaden i pod żadnym kształtem mieć nie będzie miejsca, w którym każdy Polak znajdzie zabezpieczenie dla siebie, dla żony i dzieci swoich, w którym upośledzony od urodzenia na ciele lub na duszy znajdzie bez upokorzenia niechybną pomoc całego społeczeństwa, w którym ziemia dzisiaj przez włościan warunkowo tylko posiadana, stanie się bezwarunkową ich własnością, ustaną czynsze, pańszczyzny i wszelkie tym podobne należytości bez żadnego wynagrodzenia a poświęcenie się sprawie narodowej z bronią w ręku będzie wynagrodzone ziemią z dóbr narodowych... Polacy, czytamy dalej w manifeście, nie znamy odtąd między

sobą żadnej różnicy, jesteśmy odtąd braćmi, synami jednej matki ojczyzny, jednego Ojca, Boga na niebie. Jego wezwijmy na pomoc, a on pobłogosławi orężowi naszemu i da nam zwycięstwo, ale aby wysłuchał głosów naszych, niekalajmy się pijaństwem ani rabunkiem, nie plammy poświęconej broni samowolnością lub morderstwem bezbronnych różnowierców i cudzoziemców, bo nie z ludami, ale z uciemiężcami naszymi bój prowadzimy".

Na trzeci dzień po wybuchu powstania przybywa do Krakowa Edward Dembowski. On to w charakterze sekretarza Tyssowskiego dopilnowuje wykonania manifestu. Za jego interwencją wydano cały szereg dekretów, jak dekret o zniesieniu pańszczyzny, czynszów, danin i wszelkich daremszczyzn, jak dekret o przydziale pięciomorgowych działek roli chłopom bezrolnym, jak dekret o stworzeniu dla rzemieślników warsztatów narodowych, jak wreszcie dekrety o zniesieniu wszelkich przywilejów szlacheckich i tytułów.

Fala tych przesiąkniętych demokratycznym duchem dekretów silnie zatrwożyła szlachtę. Zaczęła ona coraz jawniej występować przeciw rządowi, przeciw jego reformom. Wtedy demokraci z Edwardem Dembowskim na czele przeprowadzili zamach stanu. Stworzono dyktaturę, na czele której stanął Tyssowski. Osoba dyktatora nie była jednak zbyt szczęśliwie dobrana. Tyssowski może i był szczerym demokratą, był jednak przede wszystkim człowiekiem o słabym charakterze, ulegał łatwo wpływom postronnym. Mógł coś zdziałać jedynie mając przy sobie tak potężną indywidualność, jaką był Edward Dembowski.

Dyktatura Tyssowskiego miała pogłębić dzieło reform społecznych zapoczątkowanych manifestem. W tym też rzeczywiście kierunku szły następne dekrety rządu. Przewidywały one kary dla tych, którzy by się zniesieniu pańszczyzny, czynszów i daremszczyzn opierali. Jedna z odezw wydana do chłopów, której autorem był Dembowski, głosi: „Dla twego dobra, o ludu, rewolucja dokonana powraca ci prawa, które ci wydarto. Wszędzie o ludu, głoś to, coś usłyszał i pomnij, że bronić praw swoich powinieneś, jak każdy Polak bronić ich będzie i przeciwko austriakom cesarskim, prusakom, moskalom i przeciwko każdemu ktoby te prawa wydrzeć chciał nam ludowi, nam chłopom, nam Polakom!"

Nieporadność przywódców wojskowych, brak zdecydowanej akcji zaczepno-ofensywnej, przeciw wojskom austriackim, intrygi elementów reakcyjnych wszystko to złożyło się na niepomyślny przebieg powstania. Straszliwa klęska oddziałów po-

wstańczych pod Gdowem, śmierć Edwarda Dembowskiego od kuli austriackiej na Podgórzu, wreszcie opuszczenie w dniu 3 marca przez wojsko powstańcze Krakowa na rozkaz Tyssowskiego, wszystko to były znamiona ponownej klęski narodowej. A ostatnim aktem powstania była niespodziewana kapitulacja w dniu 4 marca 1846 roku przed Prusakami.

Tak zakończył się krótki epizod walki zbrojnej narodu polskiego o wolność. Powstanie upadło, ale myśl demokratyczna, która je ożywiała, zajaśniała w ideologii „Czerwonych" powstania styczniowego, zatriumfowała zaś ostatecznie dzisiaj, w Polsce w realizowaniu konsekwentnej demokracji ludowej.

WACŁAW POLKOWSKI

Jakiej szkoły domaga się współczesna rzeczywistość?

Obserwator współczesnego życia bez trudu dostrzeże dwie prawdy. Jedną — że żadna gałąź działalności ludzkiej nie cieszy się takim uznaniem, jak oświata (przynajmniej w teorii) i że żadna inna nie napotyka na drodze do swego upowszechnienia tylu oporów i przeszkód. Drugą — że żaden kierunek polityczny nie posiada tylu zwolenników, co demokracja, z tym tylko zastrzeżeniem, że każdy ją inaczej interpretuje, bo nawet Hitler i Mussolini, uważali się za mandatariuszy władzy ludu, a nasi domorośli ich naśladowcy w osobach p.p. Kozłowskich i innych bajali o demokracji kierowanej. Zasadniczym, integralnym i niczym nie zastąpionym czynnikiem demokracji jest równość, ale nie tylko w stosunku do artykułów kodeksu karnego i w stosunku do ordynacji wyborczej, bo na to godziła się i burżuazja; ale równość startu życiowego, równomierny udział w korzystaniu z wszystkich dóbr, nie tylko materialnych, ale i kulturalnych.

Demokracja dopiero co objęła rządy i trudno aby uporządkowała w ciągu kilku miesięcy odziedziczony po swych poprzednikach i po straszliwych spustoszeniach sześcioletniej wojny inwentarz; demokracja stawia dopiero swe pierwsze kroki i dlatego nie może nas zadawalać całkowicie stan dzisiejszy. Niesprawiedliwy podział dóbr materialnych jest zjawiskiem przemijającym. Zlikwidowanie skutków wojny, wzmo-

żenie intensywności pracy—podniosą poziom stopy życiowej obywatela. Groźniejsza w skutkach jest jednak niesprawiedliwość udziału w korzystaniu z dóbr kulturalnych. Dzisiaj również jak przed laty tylko nieznaczna część młodzieży osiąga w szkołach takie przygotowanie, że jest zdolna do dalszych samodzielnych studiów nad sobą, do samodzielnego krytycznego myślenia. Dzisiaj przeważająca część młodzieży poprzestać musi na szkole, zwanej powszechną. Równomiernego udziału w korzystaniu z dóbr kulturalnych, niestety, jeszcze nie ma, więc i o powszechności oświaty i wiedzy mowy być nie może, mimo że ideał upowszechnienia oświaty jest ideałem odwiecznym.

W jakim stopniu ten odwieczny ideał realizuje przygotowywana reforma szkolna w Polsce? Żeby odpowiedzieć na to pytanie, postarajmy się zdać sobie sprawę, czy zapowiedziana ośmioklasowa szkoła powszechna uczyni zadość następującym warunkom:

1) czy uczyni zadość potrzebie równouprawnienia wszystkich obywateli w zakresie nabywania i pomnażania wiedzy, przeżywania i stwarzania nowych wartości kulturalnych,

2) czy jest odpowiednim środkiem do przeprowadzenia selekcji wśród młodzieży i celowego gospodarowania materiałem ludzkim.

Po radykalnym przeprowadzeniu reformy rolnej, upaństwowieniu ciężkiego przemysłu, uspołecznieniu banków zdawałoby się, że powinna nastąpić i zasadnicza rewolucja oświatowa. To znaczy, żeby każdy przyszły w Polsce obywatel był tak przygotowany w szkole ogólnokształcącej, by po jej ukończeniu był czynnym członkiem społeczności kulturalnej i aktywnym, świadomym swej odpowiedzialności za przyszłość państwa i demokracji obywatelem. Żeby umiał krytycznie myśleć, samodzielnie czytać dzieła naukowe, korzystać z pomocy naukowych, odczuwać i oceniać dzieła sztuki i jednocześnie, aby wyniesiona ze szkoły wiedza ułatwiała mu nabywanie specjalizacji w zawodzie. Przecież ideałem demokracji jest aby zanikły różnice istniejące dzisiaj pomiędzy pracownikiem umysłowym, a tzw. fizycznym i aby różnice w poziomie kulturalnym pomiędzy poszczególnymi zawodami wyrażały się w takiej formie, jaka dzisiaj istnieje np. pomiędzy lekarzem a inżynierem czy prawnikiem. Chwilę obecną słusznie nazwano zakrętem dziejowym. Załamują się ostatnie podstawy kapitalistycznego świata. W jakimże kierunku sterować będzie nawa społeczna? Historia ludzkości nie jest wynikiem zdeterminowanego fatalizmu, ale wypadkową, któ-

rej jednym z czynników jest rozum i wola ludzka. Najbardziej genialna jednostka nie może wpłynąć na historię, gdy za nią nie stoi masa. Aktywny i świadomy swych obowiązków obywatel musi szybko orientować się w złożonych zjawiskach współczesnego życia gospodarczego, a jego przekonania polityczne muszą być oparte na dostatecznym zasobie wiedzy historycznej o systemach rządzenia i zależności kultury od przemian gospodarczych. Czy program nawet ośmioklasowej szkoły powszechnej jest w tym zakresie wystarczający? Nie, już choćby i z tego względu, że uczniowie siedmio- lub ośmioklasowej szkoły powszechnej psychicznie nie dorośli do rozważania zagadnień i zdobycia wiadomości koniecznych dla dzisiejszego obywatela. Uczniowie tych szkół — to dziatwa i młodzież od 7 do 14 lub 15 roku życia.

Nauka o dziecku rozróżnia dwa okresy: drugie dzieciństwo i tak zwany okres pokwitania płciowego. I pierwszy i drugi jest zbyt wczesny do ćwiczeń w zakresie pojęciowego myślenia. Myśleniu dziecka brak cech naukowego, pojęciowego rozumowania: jasnego wytknięcia celu, metodycznego, konsekwentnego dochodzenia do niego i bogatej wyobraźni. Wszak dziecku, według Sullego, brak dostatecznie rozwiniętych wyższych ośrodków kory mózgowej. Mowa dziecka, zdaniem badacza tej miary, jakim jest Piagget, nie oddaje rzeczywistości, ale stwarza ją sobie według swej egotycznej wyobraźni. Okresowi drugiego dzieciństwa odpowiada pierwszy szczebel szkoły powszechnej. Podobnie jednak do wprawy w krytycznym myśleniu i ujmowaniu zagadnień życia w kryteria naukowe nie nadaje się i okres drugi, zwany pokwitaniem płciowym. Każdemu wiadomo, że dziewczęta od 11 do 14 roku życia, a chłopcy od 12 do 15 przechodzą proces fizjologiczny, nazwany pokwitaniem, zamieniający dziecko w dojrzałego osobnika. Proces ten wyraża się zewnętrznie zmianą głosu u chłopców, ukazaniem się drugorzędnych oznak płciowych, a pociąga on za sobą tak wielki wkład energii, że wywołuje niezrównoważone stany psychiczne. Dziecko przechodzi od stanu podniecenia do przygnębienia, staje się niesforne, pozornie leniwe, uparte, to znowu wykazuje nadmiar sił i musi je wyładować. Wiekiem przekory z punktu widzenia pedagogicznego nazwano ten okres. Psychologia wspomina jeszcze o czasowym osłabieniu uwagi, zwłaszcza wtórnej i osłabieniu pamięci. Tak krytyczny w życiu dziecka okres zbiega się w czasie z okresem zakończenia nauki w obowiązkowej szkole powszechnej, która dla niejednego młodzieńca ma wystarczyć już na całe życie. Wprost dziwić się należy milczeniu psychologów, jako

najbardziej upoważnionych w tej sprawie, że nie zażądają dość mocno i wyraźnie zmniejszenia przez szkoły wymagań — w tym właśnie okresie — od młodzieży. Szkoła musi je jednak zwiększyć, ponieważ jest to ostatni rok pobytu w jej murach młodzieży, rok rekapitulacji całego materiału, rok końcowych egzaminów. W imię więc przyszłego rozwoju i zdrowia psychicznego młodzieży należałoby zaoszczędzić wysiłków i naukę albo zakończyć w wieku lat 10—11, albo przedłużyć ją o trzy lata, to jest do okresu pierwszej młodości, kiedy młodziez psychicznie wróciła do równowagi i kiedy poczynają się ujawniać istotne jej zdolności i zarysowywać ideały. Pierwsza ewentualność przypaść może do smaku przyczajonym wstecznikom politycznym i kulturalnym, którzy jeszcze w swoich projektach w okresie okupacji chcieli obdarzyć Polskę czterooddziałową szkołą ogólną, a pozostałe trzy lata miały być zużytkowane na specjalizację zawodową. Program taki sam mówi za siebie i nie nadaje się do dyskusji. Druga ewentualność przedłużenia nauki w obowiązkowej szkole powszechnej do lat dziesięciu nie tylko z wysuniętych poprzednio względów politycznych i psychologicznych wydaje się jedynie słuszna. Ostatnie trzy lata pobytu młodzieży w szkole nozwoliłyby wyćwiczyć ją na przygotowanych do dzisiejszej rzeczywistości obywateli i aktywnych członków społeczeństwa, oraz zaopatrzyć w taki zasób wiedzy i tak wyćwiczyć w umiejętnościach, żeby absolwent tej szkoły mógł samodzielnie dalej się uczyć i twórczo pracować. Czyż przyswajanie sobie wartości, zawartych w trudniejszych utworach literatury pięknej i naukowej, ma być udziałem nielicznych grupek wybranych niewiadomo według jakich kryteriów smakoszy? I jaka gwarancja, że absolwent później przeczyta te dzieła, skoro nie jest do nich dostatecznie przygotowany? Czy będzie mógł właściwie spełniać funkcje społeczne w samorządzie, jako sędzia przysięgły, czy też zawsze będzie przysłowiowym wójtem z pieczęcią za cholewą, gdy właściwym kierownikiem gminy pozostanie pisarz? Czy samorząd w Polsce zawsze ma spełniać dodatkową funkcję administracji państwowej? Ale inaczej być nie może, dopóki wreszcie nie wyrówna się w społeczeństwie poziom kulturalny i oświatowy.

Okres pierwszej młodości według Halla jest właśnie okresem ujawniania się zdolności zawodowych i formowania ideałów. Organizm przeżywa swe fizjologiczne odrodzenie, a jednocześnie, jak mówi Stern, budzi się dążność do odkrycia samego siebie, występuje potrzeba ujęcia i zrozumienia świata, sensu życia i przyswojenia sobie poglądu na świat. Wszystko to ra-

zem świadczy o konieczności roztoczenia nad młodzieżą w tym ważnym dla jej późniejszego życia okresie szczególniejszej opieki. Któż ją właśnie ma dać, jak nie szkoła. Niestety, według dzisiejszego stanu rzeczy, większość młodzieży w tym wieku do szkoły już nie uczęszcza, uczy się rzemiosła lub zarobkuje. W interesie podniesienia poziomu intelektualnego, ideowego i moralnego społeczeństwa należy właśnie jak najdłużej młodzież w szkole zatrzymać.

To dłuższe zatrzymanie w szkole młodzieży przyniesie społeczeństwu jeszcze i inne korzyści. Demokracja między innymi i na tym jeszcze polega, aby celowo gospodarować materiałem ludzkim, a więc na kierowaniu ludzi do tego zawodu, do którego najwięcej czują zainteresowania i ujawniają najwięcej zdolności. Społeczeństwo zyskuje wtedy intensywniejszych pracowników, a jednostka znajduje zadowolenie w pracy zawodowej. W 1938 roku jeden z bogaczy amerykańskich rozpisał ankietę na temat, co by dany człowiek zrobił, gdyby nie potrzebował pracować zarobkowo. Tylko 11 proc. uczestników ankiety kontynuowałoby pracę w obranym zawodzie. Inni natychmiast by ją porzucili. Zapewne, że jedną z przyczyn niezadowolenia było niskie wynagrodzenie, monotonność w pracy fabrycznej, stosunek przełożonych. Tym niemniej niewłaściwy stosunek większości uczestników ankiety do swego zawodu nazwać należy chorobą społeczną, którą należałoby zwalczać. Dzisiaj, niestety, o wyborze zawodu jeszcze w większości wypadków decyduje nie uzdolnienie a zamożność rodziców i odległość miejsca zamieszkania od siedziby zakładu naukowego.

Kiedy jednak ujawniają się zdolności predestynujące jednostkę do właściwego zawodu? Chłopcy początkowo chcieliby być lotnikami, marynarzami, wynalazcami, dziewczęta—nauczycielkami, lekarkami. Dopiero później chłopięce marzenia zbliżają się do rzeczywistości, stają wyraźne zainteresowania. W szkole, zwłaszcza powszechnej zbyt wcześnie o tym wyrokować. Nie zawsze szkolni prymusi zostają w życiu premierami, a odwrotnie, pozornie mierne jednostki wybijają się na czoło społeczeństwa. Można w tym miejscu usłyszeć uwagę, że istnieją poradnie zawodowe, pracownie psychotechniczne, w szkołach dokonuje się badań inteligencji, ale to wszystko w stosunku do omawianej potrzeby jest niewystarczające: testy świadczą o lotności i szybkości skojarzeń, ale nie o ich głębi, a dopiero obydwa warunki świadczą istotnie o inteligencji. Potrzebny jest poza tym jeszcze jeden warunek — uświadomienie młodzieży, powierzenie jej do wykonania kilku prac, przy których wykonaniu sama by poznała swe uzdolnienia i możliwo-

ści, innymi słowy: trzeba zatrzymać ją jeszcze przez pewien okres czasu w szkole. I właśnie w tym punkcie szkoła dziesięcioklasowa góruje nad ośmioklasową i jej następnym dokształcającym uzupełnieniem zawodowym.

Istnieją i dzisiaj projekty, według których młodzież przybywałaby w szkole ośmioklasowej ogólnokształcącej do lat 15, a potem udawałaby się albo do ogólnokształcącego liceum, albo do średniej szkoły zawodowej, albo do szkoły dokształcającej. Do szkoły dokształcającej kierowana byłaby ta młodzież, która jednocześnie uczyłaby się rzemiosła lub pracowała zawodowo. Do szkoły dokształcającej młodzież uczęszczałaby w pewne określone dni tygodnia albo wieczorami przez cztery lata, w inne dni tygodnia pracowałaby u swych mistrzów. Projekt ten jest niekonsekwentnym zniekształceniem projektu dziesięcioklasowej szkoły powszechnej. Punktu właściwego momentu wyboru zawodu nie da się w tym projekcie obronić, a jednocześnie sami zwolennicy ośmioklasowej szkoły powszechnej i czteroletniej szkoły dokształcającej stwierdzają, że projektowana ośmioklasówka da niedostateczny zasób wiedzy, skoro go uważają za stosowne przedłużyć. Różnice pomiędzy jednym a drugim projektem polegają jedynie na rozłożeniu nauki w czasie: zwolennicy szkoły dziesięcioklasowej chcą przeznaczyć na naukę jeszcze dwa lata na przyswojenie wiedzy ogólnej, aby potem młodzież mogła skoncentrować swoje wysiłki na pracę przygotowującą ją do zawodu, podczas gdy zwolennicy ośmioletniej szkoły powszechnej i czteroletniej szkoły dokształcającej chcieliby, aby młodzież jednocześnie przygotowywała się do zawodu i uzupełniała swoje wiadomości ogólne. Czy wytwarzane przy tym rozkładanie uwagi, dekoncentracja zainteresowań i tematów, rozproszenie atmosfery pracy umysłowej lub zawodowej przyczyni się korzystniej do nabywania wiedzy i wyćwiczenia się w zawodzie, wolno wątpić.

Przewiduję zarzut, że przeciętna jednostka ludzka nie może przez dłuższy okres swego życia tylko się uczyć i być skutkiem tego ciężarem społecznym, przeciwnie, musi wziąć udział w procesie wytwarzania; że pobyt aż dziesięcioletni młodzieży w szkole byłby za długi i obciążyłby gospodarstwo społeczne potężną armią uczniów, zmierzałby do przerostu pracowników umysłowych. Zwrócić jednak należy uwagę na to, że w ustroju kapitalistycznym społeczeństwo było obciążone sforą pośredników, agentów, nie mówiąc o setkach szpiegów i podobnych im darmozjadów.

W tym miejscu postawić należy zasadnicze pytanie: ile właściwie potrzeba lat na przyswojenie sobie przez młodzież

umiejętności poszczególnego rzemiosła? Przyjął się zwyczaj czterech lat, trzech, a kiedyś bywało i pięciu. Trzy lata trwała nauka rzemiosła, gdy rodzice zapłacili majstrowi honorarium za naukę rzemiosła, a w istocie nauka rzemiosła rozkładała się na następujące okresy: rok lub dłużej chłopiec pracował w charakterze gońca czy służącego (a więc dla społeczeństwa korzystniej będzie, gdy się będzie uczył w szkole), zaś w ostatnim roku rzekomej nauki młodzieniec pracował jako wykwalifikowany robotnik, z tą tylko różnicą, że nie pobierał takiego za pracę wynagrodzenia, jakie otrzymywali starsi jego, po tak zwanych wyzwolinach koledzy. Różnica szła na rzecz majstra tytułem wynagrodzenia za naukę rzemiosła. Istotna nauka trwała więc dwa lata, i to nauka z analfabetami, a przecież obecnie do pracy w rzemiośle i w przemyśle napłynie element inteligentniejszy, przecież szkoła ogólnokształcąca kształci również zmysły, uwagę, rozwija inteligencję. Do programu szkoły ogólnokształcącej wprowadzono od dawna od klasy piątej zajęcia praktyczne, naukę koszykarstwa, ciesielstwa, stolarstwa, robót w metalu, czyżby zajęcia te, prowadzone racjonalnie, miały pozostać bez żadnego wpływu na dalsze ćwiczenia w wybranym przez ucznia zawodzie? Z całym naciskiem przytem zaznaczyc należy, że przecież rzemiosło jest stale wypierane przez przemysł, a praca w fabryce wymaga albo długich studiów na politechnice, albo przygotowania średniej szkoły, ale najczęściej nie wymaga dłuższego przygotowania, a już bynajmniej nie dwuletniego. Coraz większy postęp techniczny w przemyśle — nowe wynalazki i ulepszenia zwiększają ilość produkcji, ale zmniejszają liczbę robotników. W ustroju kapitalistycznym zredukowani powiększają liczbę bezrobotnych pariasów, zmniejszają liczbę konsumentów i w dalszej kolei oddziaływują na dalsze działy produkcji. W gospodarce planowej postęp techniczny, wynalazki powinny pociągać za sobą skrócenie dnia lub tygodnia pracy, a jednocześnie wysuwa się w ogóle problem skrócenia obowiązku pracy na rzecz społeczeństwa, a więc rozpoczynania jej w wieku późniejszym i wcześniejszego przechodzenia w stan spoczynku. Przecież już przed wojną stwierdzili ekonomiści, że gdyby cała, w wieku od lat 21 do 50, ludność poszczególnych krajów istotnie produkcyjnie pracowała, to dla zaspokojenia potrzeb ogólnych i jednostkowych wystarczyłaby czterogodzinna praca dzienna przy pięciodniowym tygodniu roboczym, a jednocześnie w ustroju gospodarki planowanej i uspołecznionej powinno nastąpić przesunięcie obowiązku rozpoczynania pracy zawodowej. Nie ma wątpliwości, że jest właściwsze opóźnienie o dwa lata obowiązku pracy zawodowej, niż

zwiększanie liczby bezrobotnych, żonatych, po 45 roku życia. Nic też dziwnego, że w rozwoju szkolnictwa różnych krajów wyraźnie występuje tendencja rozwojowa, zmierzająca do dziesięcioletniej szkoły powszechnej.

Nasz sąsiad wschodni szkołę taką u siebie wprowadził już od dawna i jakkolwiek nie wszędzie z różnych prrzyczyn została w całości zrealizowana, lub podniesiona na właściwy poziom, bo gdzieniegdzie na przeszkodzie stanął brak odpowiednio przygotowanych nauczycieli lub podręczników, czy pomocy naukowych, to jednak powoli i stopniowo szkoła ta osiągnęła swój właściwy poziom. O stosunku władzy sowieckiej do oświaty świadczyć może fakt, że nawet w okresie gigantycznych zmagań z nawałą faszystowską nauczycieli nie zmobilizowano. Zestawienie przebiegu ostatniej wojny z poprzednią wykaże rolę wzrostu oświaty w Rosji Radzieckiej. Rzekomy barbarzyńca żołnierz radziecki był zdolny posługiwać się środkami najnowszej techniki, wykrzesał z siebie patriotyzm narodowy i klasowy niewspółmiernie większy niż żołnierz rosyjski 1914 roku, wychowany w carskiej ciemnocie. Podobnie i odwieczny nasz wróg, sąsiad zachodni, już po tamtej wojnie w niektórych państwach związkowych np. w Hamburgu organizował szkoły dziesięcioletnie. W Anglii szkoła dziesięcioklasowa nie jest nowością, a nawet w Czechach zastanawiają się nad jedenastoletnią szkołą powszechną. Czemuż więc jedynie Polska ma pozostać w tyle? Czemuż ośmioletnia szkoła powszechna ma znajdować się na tych terenach, na których obowiązek ośmioletni wprowadził zaborca? (Śląsk).

Przeciwnicy dziesięcioklasowej szkoły powszechnej wysuwają argumenty mierzenia zamiarów według sił, liczenia się z rzeczywistością. Nawet tak sympatyczny kol. Stefan Żółkiewski w pierwszym numerze ,,Głosu Nauczycielskiego" wskazuje tylko na trudności przy realizowaniu takiej szkoły. A przecież w 1905 roku nie było w Królestwie nauczycieli odpowiednio kwalifikowanych, a w roku 1918 socjalistyczny minister rządu nie waha się podnieść stopień organizacyjny szkoły powszechnej w Polsce środkowej i we wsiach południowej z trzech klas na siedem, chociaż kwalifikowanych nauczycieli było daleko mniej niż dzisiaj! Jeśli chodzi o rezerwoar nauczycieli, to przecież do wyższych trzech klas dziesięcioklasowego gimnazjum skierowanoby znaczną liczbę już obecnie zatrudnionych w gimnazjum, następnie należy uwzględnić nauczycieli, dzisiaj pracujących w szkołach zawodowych przy nauce przedmiotów ogólnych. Zabezpieczenie bytu nauczycielowi kazałoby wrócić do tego zawodu dziesiątkom dezerterów, zmuszonych

do ucieczki z powodu nędzy własnej i rodzin i przyciągnęłoby do niego wiele osób postronnych. Niechęć do zawodu nauczycielskiego jest zjawiskiem przejściowym, wywołanym skutkami wojny. Jeżeli tamta wojna podniosła w Polsce stopień organizacyjny i programowy szkół o trzy lata, spopularyzowała zasadę powszechności i jednolitości, to i ta wojna, która zmiotła klasę obszarników, arystokratów i plutokratów, powinna dać wreszcie wszystkim prawo do właściwej wiedzy. Reasumując wywody powyższe powtórzyć należy:

1) względy psychologiczne i pedagogiczne nakazują przedłużyć obowiązek szkolny młodzieży do 18 roku życia, ale też te same względy nakazują skoncentrowanie wysiłków w jednym punkcie i w jednej szkole,

2) umiejętna gospodarka materiałem ludzkim potwierdza to założenie,

3) względy polityczne również przemawiają za 10-letnią szkołą powszechną ogólnokształcącą. Prawdziwa demokracja— to równość w korzystaniu z dóbr społecznych, którymi są przede wszystkim dobra kulturalne z wiedzą i oświatą na pierwszym miejscu. Wiekowa niesprawiedliwość, skazująca, jak słusznie mówi prof. A. B. Dobrowolski, miliony ludzi bez ich winy na duchową ślepotę i odsuniętych nie wiadomo dlaczego od rozkoszy krytycznego myślenia i wnikania w tajemnicę przyrody, winna być wreszcie dzisiaj przez demokrację usunięta.

Na ostatek jeszcze raz warto przypomnieć, że demokrację i wolność narodu i jednostki utrwali tylko równy dostęp do wiedzy, której formą już dzisiaj może być dziesięcioklasowa szkoła powszechna. Było to jasne dla Żyrondystów XVIII wieku, musi być jasne dla nas w wieku zwycięstwa nauki, w wieku zwycięstwa nad kapitalizmem.

ZOFIA LISSA

Muzyka polska w Związku Radzieckim w czasie wojny

Polską muzyką, a zwłaszcza twórczością geniusza muzyki polskiej, Fryderyka Chopina, interesowano się i dawniej w carskiej Rosji. Konsekwencją tego kultu Chopina, zakorzenionego w środowisku rosyjskim, były potem rezultaty konkursów chopinowskich, tak dobrze znane polskim sferom muzycznym przed wojną. — Radzieccy laureaci chopinowskich konkursów w Warszawie — to z jednej strony widomy znak wysokiego poziomu pianistyki radzieckiej, z drugiej zaś entuzjazmu i miłości muzyków radzieckich do polskiego kompozytora. Swoją specyficzną wymowę ma fakt, że w roku bieżącym w koncertach planowanych przez Moskiewską Filharmonię mają być wykonane wszystkie bez wyjątku, od pierwszego do ostatniego opusu. dzieła Chopina.

Jeszcze bardziej wymowny jest fakt, że w roku 1941, już w czasie pierwszych miesięcy wojny, w głodnym i oblężonym Leningradzie ukazała się w druku książka radzieckiego etnografa muzycznego, Wiaczesława Paschałowa pt. „Chopin i polska muzyka ludowa", stanowiąca cenny wkład w międzynarodową szopenologię. Zresztą książek o Chopinie nie brak w radzieckiej literaturze; jeszcze przed wojną wielkie zainteresowanie obudziło ciekawe studium Lwa Mazela pt. „Analiza Fantazji F-moll Chopina". Interesująco przedstawia się też monografia o Chopinie Frenkla, dająca barwny opis społecznego i historycznego środowiska z okresu szopenowskiego.

Ale właściwy rozkwit polskiej kultury muzycznej w Związku Radzieckim rozpoczyna się od roku 1943, w chwili gdy zaczyna się organizować nowa Polska Armia, gdy powstaje Związek Patriotów Polskich i te wszystkie instytucje, które miały czynić zadość potrzebom emigracji polskiej w Związku Radzieckim.

Suche wyliczenie faktów da może najbardziej przejrzysty obraz tego, co w zakresie kultury muzycznej zrobiono w tym czasie dla Polski.

Przede wszystkim Wszechzwiązkowe Radio Radzieckie samo wystąpiło z propozycją nadawania stałych koncertów muzyki polskiej. Nawiązując do tradycji przedwojennych koncertów Warszawskiej Filharmonii dano nam do dyspozycji wieczory piątkowe. Odtąd co piątek rozbrzmiewały z Moskwy dźwięki polskiej muzyki w wykonaniu najlepszych artystów moskiewskich. Obecnie zbliżamy się do setnego koncertu muzyki polskiej. Niezależnie od wieczorów piątkowych umożliwiono nam nadawanie 20-minutowych audycji polskiej muzyki w niedzielę oraz sporadycznych koncertów związanych z rocznicami wybitnych kompozytorów polskich.

Prócz koncertów radiowych odbył się w ciągu trzech ostatnich sezonów koncertowych szereg symfonicznych koncertów publicznych poświęconych w całości muzyce polskiej.

Niezależnie zupełnie od akcji koncertowej i radiowej, rozwinęła się w Moskwie intensywnie akcja wydawnicza. W roku 1943 wydaliśmy „Śpiewnik żołnierza polskiego", w 1944 — „12 polskich pieśni ludowych" w opracowaniu Włodzimierza Iwannikowa, następnie „Śpiewnik polski" dla szkół polskich w Z.S.R.R., oraz „Śpiewnik dla przedszkoli". Ponadto wydano popularną monografię Chopina dla młodzieży polskiej, a obecnie skończyliśmy ostatnią korektę czwartej serii polskich pieśni ludowych w opracowaniu radzieckich kompozytorów.

Nie od rzeczy będzie zaznaczyć z jak wielkim zainteresowaniem odnieśli się kompozytorzy radzieccy do polskiej muzyki ludowej. Kompozytor Iwannikow, który jeszcze wiosną 1943 roku rozpoczął opracowanie polskich pieśni ludowych, rozpowszechnił je wkrótce w całym Związku Radzieckim. Za przykładem Iwannikowa poszli inni kompozytorzy radzieccy, jak: Kowal, Biełyj, Jordańskij i Kondratiew.

Od 1943 roku zaczęto również w Moskwie wygłaszać wykłady o muzyce polskiej: „Z dziejów opery polskiej", „O współczesnej muzyce polskiej", „O Chopinie", „O stylu polskiej pieśni ludowej", „O Karolu Szymanowskim" itp. W najbliższej przyszłości odbędzie się odczyt o twórczości operowej Moniuszki, który będzie stanowić słowo wstępne do przygotowywanego od dawna wystawienia „Strasznego Dworu". Nad przygotowaniem tej opery pracuje od szeregu miesięcy zespół opery radzieckiej przy Wszechzwiązkowym Towarzystwie Teatralnym.

Muzyka polska zostawiła w Związku Radzieckim swój trwały ślad i na innej płaszczyźnie. Wiosną 1944 roku Komitet Sztuki przy Radzie Komisarzy Ludowych umożliwił nam nagranie 20 płyt muzyki polskiej, które w liczbie kilkudziesięciu tysięcy rozeszły się wśród świetlic i klubów Polonii radzieckiej, a również i wśród radzieckiej publiczności, popularyzując tym samym pieśń polską w różnych zakątkach Związku Radzieckiego. Obecnie zaaprobowano nasz nowy projekt nagrania nowej partii 40 płyt polskiej muzyki współczesnej w wykonaniu polskich artystów, przy czym dla zrealizowania tego planu zaproszono do Moskwy całą ekipę najlepszych polskich muzyków-wykonawców.

Polska kultura muzyczna znalazła gościnne przyjęcie na jeszcze jednym odcinku. Zespół tańca ludowego włączył w swój program całą suitę polskich tańców ludowych, a rozmaite zespoły chóralne w Związku Radzieckim od dawna włączyły w swój program polskie pieśni ludowe.

Należy zaznaczyć, że opisane zjawiska nie należą do przeszłości, przeciwnie, zainteresowanie dla muzyki polskiej w Związku Radzieckim rośnie i pogłębia się. I tak np. Filharmonia Moskiewska włączyła w swój program szereg utworów symfonicznych muzyki polskiej, zaś państwowe wydawnictwo muzyczne zamierza w roku bieżącym wydać popularną historię muzyki polskiej oraz biografię Moniuszki.

Dziś, kiedy muzyka polska zaczęła w swobodnej Polsce nowy okres swego rozwoju, nie wolno nam zapominać o tym, że w okresie przymusowego snu zimowego polskiej kultury — na gościnnej ziemi radzieckiej żyła i rozpowszechniała się polska pieśń ludowa i polska sztuka muzyczna.

Nie wątpimy, że polskie sfery muzyczne w równej mierze zainteresują się zdobyczami muzyki radzieckiej i postarają się zaznajomić polskiego słuchacza z muzyką swego potężnego sąsiada.

JERZY KORNACKI

Wolność

To było bardzo dawno — cichy, przedjesienny, niezapomniany dzień, gdy miałem nagle po raz pierwszy myśleć o istocie wolności. Stary Cygan, Piotr Wojdo, znajomek od wczoraj, na różowych poduszkach płasko i na wznak, jakby płynie w zielonym, gęstym cieple błonia i w ciszy krzaków. Nieruchomy koń pogląda ku nam z dali i też jakby płynie razem z powietrzem. Las jeszcze dalej się chowa, gonicny coraz słońcem i cieniem, bliżej i dalej... I niewidoczne mgły przekwitają, wyżej i jaśniej wsiąkając biało w daleki błękit, gdzie ptak się gubi, ginie i niknie, by znów, jak myśl, wyniknąć z dalekości.

Słyszę nie słysząc. Leżymy dość blisko, lecz patrzymy gdzie indziej, co napewno mąci spójnię tej chwili, spólne poglądanie człowieka Nango. Wczoraj tak po prostu i czule i ślicznie jawiło się leśne życie dawnego człowieka w cygańskich słowach, a dziś nic a nic... Może położyć rękę na ręce starego, może usiąść inaczej, z oczami naprzeciw, albo do koni podejść, albo do pałaty wrócić pod płachtę?

Za garść papierosów cudzoziemsko ciemnych, francuskich „G,itanes", stary Cygan obłudnie, inaczej niż wczoraj, wykręca mi tę samą dawną wieść o Nango, człowieku leśnym. Wczoraj sam nim był, przyjął głos jego własny żałośnie i śmiesznie, mówił w jego imieniu, tocząc głową wokoło, plaszcząc błogo palcami od tyłu po uszach, i tupiąc, wytupując rytm słów jak piosenkę:

— dziupli mam dziesięć, mam dziesięć,
w dziesięciu drzewach, w dziesięciu drzewach,
daleko i wysoko, że nikt nie najdzie...
Są głębokie jak ule, są długie jak wąż,
i ciemne i łakome jak paszczęki wężów...
Tam schowam... Nikt nie najdzie... Ale co ja schowam?
Nie mam nic do schowania... Jestem biedny Nango...

Dzisiaj miał zakończyć, ale głupi jesteśmy obaj jednocześnie, ja że się spodziewałem, on że obiecywał, bo przecież wieść o Nango nie może mieć końca, jak nie miała początku. Dawny człowiek Nango, bez czapki na głowie, bez koszuli na ciele i nawet bez gaci, chodzi z innymi Nango pieszo, wszyscy ra-

zem bez dróg nigdzie i wszędzie. Pod nogami Nango mógł być kamień krościsty wysoko na górze, albo ciągliste błoto w wielkich dołach ziemi, ale i tu i tam dokoła — zawsze las ten sam otaczał wszędzie wszystko. Więc nie mogło być ani nigdzie początku ani nigdzie końca...

Słuchałem nie słuchając, słyszałem nie słysząc. Letnie ciepło bezwietrznie przechodziło w jesień, jak w bladość nieba. On tu a ja tam, leżymy blisko siebie, patrzymy gdzie indziej, a między nami w ciszy, śród słów bałamutnych przecież jakoś się jawi w nas dwóch tamten trzeci. Inny niż wczoraj, a jednak ten sam, dawny i leśny, spólny wszystkim ludziom praojciec Nango... Znów widzę na wznak, jak kwitnie ponade mną ogromny i biały kwiat powietrza i ledwie więdnie niewidocznie, wyżej i jaśniej, wciąż biało wsiąkając w daleki błękit. Tam gubi się ptak, ginie i niknie, by znowu jak myśl wyniknąć z dalekości...

—Jak on żył, tamten Nango, co robił, co myślał? — bezwiednie pytam prosto w biały kwiat długich mgieł ponad głowę.

— Jak on żył?... Co myślał? — głos starego Cygana w ciągliwym ziewnięciu udaje senność. Tak kiepsko udaje, że brzmi mi w uszach raczej obietnicą nieznanych wyznań, a zarazem groźbą nagłego starcia, a zarazem śmiechem jakiejś mądrości długo przyczajonej, z dawna gotowej, srodze czekającej na jakieś swoje drapieżne zwycięstwo...

Tak zaczęła się wtedy, wcale nie od razu, niezapomniana rozmowa z Cyganem o istocie wolności. Wiele lat minęło, lecz wystarczy bym dzisiaj zamyślił się o tym, a już po chwili znów słyszę przy uchu głos niegłośny, zmieniony, umyślnie zwyczajny: — Nango żył wolno...

Przestałem oddychać. Byłem młody gwałtownie, miałem ponad głową szerokie koła, pracowite loty ciągłego nurtu pragnień nienazwanych, szukań zawiłych, błądzeń i zagubień... Ale w tej chwili przystanęło wszystko, zawisło wszystko. Jak gdybym coś znalazł nagle jasnego, drżącego niewinnie od życia i od prawdy, nagi żywy łup w listowiu mrocznych, umyślnie cienistych słów Cygana:

— Żył wolno Nango w wielkim lesie, **nábut-po-nábut,** ledwie, pomaleńku...

Musiałem spojrzeć. Z nieba nie od razu, ale okólną drogą przez daleki las, potem przez błonie w słońcu dookoła konia... Pochwyciłem błysk oka końskiego nad trawą, zachwyciłem się miękkim drżeniem końskiej skóry, którą ogon koliście omiótł z jasnych much. I znów jest trawa w słońcu coraz bliższa,

i drży całe powietrze niby wiele koni w złocistych dreszczach w blasku...

Śród jesieni świata, twarz Cygana pod słońce odwrócona w bok na różowej poduszce, nędznie, staro, sucho lenieje skórą. Jakby jest futrzana, ale wytarta wszędzie, niepotrzebna już, rzucona, zostawiona, żeby zostać w trawie, gdy pod wieczór ktoś przyjdzie zabierać poduszki, córka czy wnuk... Więc głos żywy i mądry, głos stary i chytry wychodzi niepojęcie spod tej szerści lichej, wygniecionej, wytartej wszędzie aż do cna. Śmieszne skrzywienie w słońcu pochowało oczy w brwiach i we wąsach, podkasało usta w ciemnym rozdarciu, w którym jak w pogardzie srożą się żółte zęby. Głos jest nad tym wszystkim żywy i mocny:

— Nango żył w wolności, więc bardzo wolno chodził, bardzo wolno mówił, **nábut-po-nábut,** bardzo wolno jadł... Wolność jest wolność... Nie musiał się śpieszyć. Wolno mógł łowić ryby w wielkiej wodzie w lesie...

— Wolność jest wolność?

Już od pierwszych słów wiedziałem wszystko. Brzmiały jak zaklęcie, gdy cicho powtórzyłem, już mając je w sobie. ale jeszcze szukając, pytając dokoła: — Wolność jest wolność?

Jedno oko wyjrzało spod brwi i spod wąsów. Jeden wzrok, czarny w słońcu, przebiegł się koło mnie i zaraz wrócił. Znów jest tylko głos, nad maską twarzy starą i wytartą mówiący niepojęcie:

— Możesz nie rachować, bo ja już zrachowałem wszystkich, co się śpieszą. Wszyscy się śpieszą... Tylko jeden Nango wolno mógł łowić ryby...

Ruszyło się wszystko. Po omacku stare nogi pogrzebały w trawie, nad różową poduszką wstała stara głowa, a ze spodni wyszły ręce, w górę jak na pokaz, ciemne i żywe, ruszające palcami, całe zwierzęta cudacznie przybrane szkliwem paznokci jasnych i łyskliwych, cygańskich drogocennie... Stary mądry śmiech zagrał tym rękom krótko a przemożnie, że podskoczyły wszystkimi palcami i rozbiegły się nigdzie cwałem po powietrzu...

— Ci tak się śpieszą, **sygedyr,** najprędzej, którzy idą to robić, czego im nie wolno... — wciąż śmiał się Cygan krótkim, rozpędzonym, zdyszanym śmiechem. Niby na wyścigach...

Patrzałem urzeczony. Widziałem dziwacznie, bo naraz z różnych stron, jakbym siedział dokoła tych rąk rozbieganych i jednocześnie wieloma oczami spoglądał zewsząd. Teraz ręce klękły, by znowu po powietrzu inaczej się rozbiec, na

klęczkach palców, wciąż pod grubym głosem, śmiesznym przemożnie, cmokającym w śmiechu:

— Ci tak się śpieszą, którzy cok-cok-cok pod batem idą robić to, co muszą robić...

Opadły ręce. Stary Cygan siadł, podniósł głowę, powąchał jakby dal niebieską i dopowiedział innym głosem w ciszy, już nie mnie, już teraz wszystkiemu w powietrzu:

— Jest ich siedmiu, tych wszystkich co się w życiu śpieszą... Kto z głodu, kto pod batem, kto jeszcze inaczej... Ale najprędzej zawsze ten się śpieszy, kto idzie robić czego mu nie wolno...

Wstał inny. Jakich siedmiu?... Liczyłem bezgłośnie: — Kto z głodu, kto pod batem, kto czego nie wolno... Nie doliczyłem siedmiu. Ciągle miałem w oczach skaczące palce obu ciemnych rąk i jakby ciągle poprzez palce rozbiegane widziałem, że wstał inny, nieuważny, zły... Grubym głosem ze złością powiedział do krzaków krzykliwie i najprędzej jak mógł po cygańsku, a z krzaków bełkotliwie głos mu odpowiedział śpiesznymi wymysłami. Obejrzałem się. Wszystko ucichło.

Gdy wracałem oczami, stary Cygan daleko, podniesioną ręką, obejmował kark koński, podbiegał za koniem, już na koniu, już jechał... Dokąd i dlaczego? Czy coś się stało?... Górą, w białych mgłach, głęboko i niebiesko wiatr niebo otwierał przed dobrym wzrokiem słońca. W słońcu migał ptak, niknął migając. Długo, długo niknął...

Gdy wróciłem oczami, obok na poduszce, jak ptak na piętach siedział inny Cygan, młody i smutny, zatroskaną twarzą patrzący nigdzie w dal. Aleksy, młody wnuk starego. Ledwie go pamiętałem z wczorajszych odwiedzin, ledwie poznałem po ściągniętych ustach, którymi jakby gwizdał bezgłośnie piosenkę, bolesną w młodej twarzy.

— Dziadek gdzie pojechał? — spytałem w niepojęciu. Był i już go nie ma. Wcale nie dorachował tych siedmiu pośpiechów, które ledwie mi zaczął przed oczami pleść i wyprawiać i dziwić, i nagle go nie ma...

— Pojechał łowić ryby... — odwróconą twarzą Aleksy ciągle patrzy w tamtą samą dal, gdzie stary razem z koniem dorwał się i zniknął.

— Matka mu da, jak wróci!... — dopowiedział mściwie. — Jemu tam jechać koniem nie wolno, nie wolno...

Musiałem się roześmiać! — Więc prędko pojechał, **sygedyr**, jak najprędzej... Czyż wiesz, Aleksy, że człowiek zawsze to robi najprędzej, czego nie wolno?

Nic nie odrzekł. Na różowej poduszce już przestał być ptakiem kołysanym na piętach. Już leżał na wznak i gwizdał prosto w niebo małymi ustami smutną piosenkę swojej twarzy młodej — cicho, bezgłośnie, w skupionej tęsknocie trwożliwych rysów, w zasłuchaniu niemym... Jakby mnie tu nie było.

* * *

Wiele twarzy widziałem przed tym, wiele twarzy później widziałem... Gdy wracałem do domu, myślałem leniwie o tych pośpiechach z siedmiu, których stary Cygan nie zdążył mi wyjawić w gonitwie palców. Może dziecinny pośpiech w śmiganiu po polu, kto pierwszy, kto najprędzej? Może pośpiech młodości za dziewczyną w las? A także gwarny pośpiech targu na bazarze, albo śmiertelny pośpiech tonącego w rzece... Mogło być tak, lecz mogło także być inaczej. Ciągle mi brakowało tych czterech pośpiechów do tamtych trzech, by razem już mieć wszystkie siedem i przestać o nich myśleć.

Podchodząc do domu, postanowiłem nawet, że dziś po obiedzie, lub może jutro, pójdę jeszcze raz do starego Cygana i dowiem się pilnie o wszystkich pośpiechach. Potem je zapiszę w zeszycie dziennika, porządnie na pamiątkę, i będę je mieć, na zawsze obok pierwszych osiemnastoletnich, zielonym atramentem pisanych rondówką, wierszy młodości...

Pewnie już przy obiedzie zapomniałem myśleć o leśnej tajemnicy. W domu nie mówiłem nikomu o tych moich spotkaniach, rozmowach, włóczęgach i zachwytach. Usiadłem nad książką, a w oknie dzień się kończył złoto i różowo, przejmująco, przezroczyście w rozszerzonych oczach, a potem drżąco w gąszczu mrocznej niebieskości... Byłem gdzie indziej. Młodość nurkowała w książce, skroś wieczór coraz gęstszy, spod którego nagle wypłynąłem pod lampę, by w jej jasnym cieniu dalej płynąć, uważnie, ciągle z góry na dół, aż do końca powieści.

Dzisiaj nie pamiętam, która to była książka. Pewnie także przerwana w połowie kolacją, jak tyle innych... Także nie pamiętam z rozgadania wieczornej rozmowy nade mną, o czym była rozmowa. Któż mógłby pamiętać? Pewnie jeszcze zostałem w jadalni pod lampą i pewnie było późno, gdy dalej nad książką, nad wciąż nieuprzątniętym stołem po kolacji, zacząłem się rozbierać.

Od rozpinania koszuli przy szyi powrócił nagle widok we wspomnieniu, obraz młodej cygańskiej twarzy Aleksego, patrzącej nigdzie. Tak jak ja w tej chwili, szyję miał obnażoną,

piersi odsłonięte pod otwarciem koszuli, co przydawało bezbronnej żałości jeszcze do smutku... Jakby nic nie wiedział o trwożliwym skupieniu swojej małej twarzy wokół ust bladych, wyłożonych w przód w wołaniu tęsknym, długim i bezgłośnym.

Poszedłem do pokoju. Jakbym wszedł na trop w nagłym chodzeniu dokoła stołu, po skraju niebieskości rzuconej od lampy. Nagle wiedziałem wszystko. Gwałtownie, gwałtownie, śpiesznie i coraz śpieszniej. Wszystko nienazwane o tamtych młodych siłach ginących w bezsile, o tamtych młodych rękach porzuconych w trawie w rozpaczy bezczynności, o tamtych powiekach, spod których bezrozumnie nigdzie oczy patrzą, o tamtych ustach wyłożonych w przód, z których krzyk beznadziejny wynika bezgłośnie, na marne, nie na pomoc...

Wiele twarzy widziałem przed tym, wiele twarzy potem widziałem, ale ta we wspomnieniu skupiła żałośnie wszystkie spojrzenia dzieci nieuczonych, zaklęte w okna kamienic i chat, wszystkie trwożne a nieme wyznania młodzieży, zostawionej gdzieś w cieniu ogromnych prac świata ciemno i bezrobotnie...

— Nango żył w wolności, więc bardzo wolno chodził, bardzo wolno mówił, **nábut-po-nábut**, bardzo wolno jadł... Wolność jest wolność... Nie musiał się śpieszyć...

Przystanąłem nad stołem. Stary głos Cygana nazwał mi we wspomnieniu wszystko nienazwane w ciemnej, cicho cierpiącej, młodej twarzy wnuka. Cygańska wolność wydała, wyznała w ciszy tej nocy niemy sens zaklęcia każdej wolności, cygańskiej, żydowskiej, polskiej, wiejskiej i miejskiej, wolności ciemnoty, wolności nędzy...

Miałem nie zapomnieć...

Nie zapomniałem.

Jesień 1945.

ZOFIA NAŁKOWSKA

Kobieta cmentarna

(MEDALIONY)

Droga do cmentarza prowadzi przez miasto pod tamtym murem. Wszystkie okna i balkony — dawniej pełne uwięzionych, stłoczonych ludzi, wyglądających na świat zza muru — są dziś bezludne. W przejeździe już od dawna widać na jakimś drugim piętrze to samo okno, zawsze otwarte, a za nim obwisły gzyms z poczerniałą firanką, suchy kwiat w doniczce i też zawsze otwarte drzwiczki od taniego kredensu, stojącego pod ścianą pokoju.

Mijają miesiące i nikt nie podnosi gzymsu, ani drzwiczek od kredensu nie zamyka.

Droga na cmentarz powoli z miejsca żywych zamienia się na miejsce umarłych. Ale objęte pustą architektoniczną ramą to miejsce jeszcze nie całkiem wyjęte jest z obrębu życia. Bo oto słychać i oto widać.

Ponad najświeższą młodziutką zielenią cmentarnych drzew czarnymi chmurami wstępują ku górze kłęby dymu. Czasami przeszywa je długi płomień, jak wąska, czerwona, szybko migocąca szarfa na wietrze. Ponad wszystkim idzie przez niebo dalekie mruczenie aeroplanów.

Mijają miesiące i to nie zmienia się, to trwa.

* * *

Zewsząd nadchodzą wiadomości o zgonach. Umarł P. w obozie, umarła K. na jakiejś małej stacji kolejowej, schwytana na ulicy i wywieziona. Ludzie giną na wszelkie sposoby, wedle wszelkich kluczów, pod każdym pretekstem. Wydaje się, że nie żyją już wszyscy, że nie ma się przy czym upierać, nie ma przy czym obstawać. Tyle jest wszędzie tej śmierci. W podziemiach kaplic cmentarnych trumny stoją rzędami i oczekują niejako w ogonku na czas swego pogrzebu. Śmierć zwyczajna, osobista, wobec ogromu śmierci zbiorowej, wydaje się czymś niewłaściwym. Ale rzeczą bardziej wstydliwą jest żyć.

Nic z dawnego świata nie jest już prawdziwe, nic nie zostało. Ludziom dane jest przeżywać rzeczy niejako ponad stan. Przerażenie staje pomiędzy nimi i odgradza ich od siebie. Jeden dla drugiego o każdej chwili staje się sposobnością do śmierci.

Rzeczywistość jest do wytrzymania, gdyż nie cała dana jest w doświadczeniu. Albo dana nie jednocześnie. Dociera do nas w ułamkach zdarzeń, w strzępach relacji, w echach wystrzałów, w dalekich dymach, rozpływających się po niebie, w pożarach, o których historia mówi, że „obracają w perzynę”, chociaż nikt nie rozumie tych słów. Ta rzeczywistość daleka i zarazem rozgrywająca się o ścianę, nie jest prawdziwa. Dopiero myśl o niej usiłuje pozbierać ją, unieruchomić i zrozumieć.

* * *

Idziemy jeszcze raz cmentarną aleją. Odbywa się teraz uroczysty raut wiosenny umarłych. Umarłych dawno już śmiercią zwyczajną.

Mówią tylko swoje imię i nazwisko, mówią datę, rzadziej przypominają zawód swój i godności. Niekiedy w przejściu proszą półgłosem o westchnienie do Boga. Jest to niewiele. Są tam zawsze na tych samych miejscach i mówią wciąż to samo, odzywają się z tym powściągliwie, skrępowani swoim konwenansem. Chcą tak zupełnie mało, nie narzucają się, nie zobowiązują nas do niczego. Ich wymagania naprawdę są minimalne. Zaledwie przypominają się pamięci, wystarcza im odrobina uwagi.

Zachęty dodaje niekiedy ktoś z najbliższej rodziny — niejako wprowadza i zarazem ośmiela. Jakaś bezimienna żona z dziećmi, kładąca mężowi tę pamiątkę, mówi kamiennym szeptem, że był najlepszy. Jakaś córka, ze swej strony od dawna już nie żyjąca, ślubuje zielonymi od mchu literami przywiązanie najukochańszej matce.

Ten jeden grób jest bez krzyża. Na cokóle brązowego pomnika wypisano niezrozumiałe dziś słowa: „...patrząc z wysokiego stanowiska ewolucji w nieskończoną otchłań przeszłości, dostrzegamy tam nie rozpaczliwe mroki wiecznej śmierci, lecz żywiące blaski wiecznego i wciąż potężniejącego życia”.

Szpalerem umarłych nadciąga w tę stronę kobieta, pielęgnująca kwiaty na grobach. Ma w rękach emblematy swej godności: miotły i polewaczkę. Polewaczkę ustawia na płaskim kamieniu przy studni żelaznej i pompuje do niej wodę.

Na tym miejscu, już bliskim ogrodzenia, cmentarz jest cały zatopiony zielenią, groby leżą, jak krótkie zagonki granatowych, albo żółtych bratków. Kwitną i pachną konwalie, już

za chwilę kwitnąć będą bzy. W powietrzu zielonym woła wilga, jak wołała każdej wiosny tam, przy domu dzieciństwa. Myszka polna chodzi drobniutko między bratkami, wspina się na ich łodygi, coś zjada.

Na ciszę rozwartego szeroko nieba ponad cmentarzem co kwadrans wypływa od strony lotniska powolny aeroplan i zakreślając łagodny półokrąg, odchodzi poza mury getta. Nie widać rzucanych w ciszy bomb. Ale śladami jego przelotu po dłuższej chwili podnoszą się długie, wąskie zwoje dymu. Później dają się też widzieć płomienie.

Kobieta cmentarna napełniła polewaczkę i odchodzi z nią w stronę kwiatów. Jest to ta sama, z którą rozmawia się tu niekiedy o rzeczach śmierci.

W czasach zgrozy przychodziłam na cmentarz jako na jedyne miejsce spokoju i bezpieczeństwa, jak do ogródka przy domu rodzinnym. Jak pod najpewniejszy o tamtym czasie adres.

Zachwiała i tą moją pewnością.

— Tutaj groby są lepsze — mówiła wtedy. — Tutaj groby są lepsze, bo tu jest sucho. Tutaj ciało leży i nie psuje się, tylko się wysusza. Tam na dołku, gdzie jest mokro, miejsca są tańsze. Tam tylko dwie trumny jedna na drugiej mogą leżeć.

Miała usposobienie łagodne i czułe. Przytem była kompetentna, mogła zawsze służyć radą, a nawet pociechą. Była pełna i biała, niczym nie przejmowała się zanadto, na wszystko mając wyrozumienie.

— A tu jest wyżej — mówiła. — Tutaj jedną umarłą jak wykopali, to nic wcale nie była zmieniona. Mąż ją kazał wykopać. Była młoda kobieta i pochowana była w białej sukni. To i tę suknię miała na sobie całkiem białą. Jakby ją wczoraj pochowali.

Nie było zrozumiałe, czemu ją kazał wykopać. Wytłumaczyła to tak:

— Wykopał ją na sprawę, bo zaskarżył doktorów w szpitalu, że jej nie dopilnowali. Ona po urodzeniu pierwszego dziecka wyskoczyła przez okno i zabiła się na miejscu. I nie było nad nią jak się należy opieki. Więc ją wykopali i zawieźli znów do szpitala na sekcję. A później przywieźli ją z powrotem i pochowali. Ale już nie miała na sobie białej sukni, tylko niebieską.

Pochowali ją, ale też nie na długo. Nie minęło trzech miesięcy, jak znowu wyjmowali trumnę.

— Dlaczego?

— Dlatego, że ten mąż jej się powiesił i trzeba go było tutaj pochować. Pogłębili i wymurowali grób. I teraz tutaj leżą razem pochowani.

Jak właściwie skończyła się sprawa przeciw doktorom, nie wiadomo. Widocznie jednak nie zaspokoiła pretensji młodego małżonka, skoro ucieczki przed swym cierpieniem szukał w śmierci.

Później przyszedł czas, gdy na cmentarz spadały pociski. Posągi i medaliony potłuczone leżały wzdłuż alei. Groby z otwartymi wnętrzami ukazały w pękniętych trumnach swych umarłych.

Kobieta cmentarna wobec tej sprawy również zachowała wrodzony spokój. Teraz jednak, gdy znów wróciła po wodę, widać, jak jest zmieniona.

— Co pani jest? Czy pani chorowała?

Jej okrągła biała twarz zczerniała i schudła, czoło ma pomarszczone, jakby od ciągłego wysiłku, oczy błyszczą jak w gorączce.

— Nie, nic mi nie jest takiego — mówi pochmurnie. — Tylko że ludzie wcale teraz tutaj nie mogą żyć.

Nawet jej głos jest niepewny, drżący, przyciszony.

— Mieszkania mamy wszyscy zaraz koło muru, to tam wszystko słychać, co się u tamtych dzieje. Już teraz każdy wie, co to jest. Do ludzi strzelają po ulicach. Palą ich w mieszkaniach. Po nocach krzyki takie i płacz. Nikt nie może ani spać, ani jeść, nikt nie może wytrzymać. Czy to jest przyjemnie tego słuchać?

Rozejrzała się, jakby mogły ją słyszeć groby pustego cmentarza.

— To także przecież ludzie, więc ich człowiek żałuje — wyjaśniła. — Ale, proszę pani, dla nas lepiej, jak ich Niemcy wyniszczą. Oni nas nienawidzą gorzej, niż Niemców...

Zdawała się urażona mymi słowami naiwnej perswazji.

— Jakto, kto mówił? Nikt nie potrzebował mówić. Sama wiem. I każdy pani powie to samo, kto ich zna. Że niechby tylko Niemcy wojnę przegrały, to Żydzi wezmą i nas wszystkich wymordują... Pani nie wierzy? Nawet same Niemcy to mówią. I radio też mówiło...

Wiedziała lepiej, do czegoś jej była potrzebna ta wiara.

Poprawiła polewaczkę na kamieniu przy studni i na nowo pompować poczęła wodę. Gdy skończyła, podniosła głowę, jeszcze nadąsana. Zmarszczyła czoło i niespokojnie zamrugała oczami.

— Nie można wytrzymać, nie można wytrzymać — powtórzyła.

Trzęsącymi rękami zaczęła wycierać sobie twarz z łatwych łez.

— Najgorsze jest to, że dla nich nie ma żadnego ratunku — mówiła cicho, jakby wciąż bojąc się, że ktoś usłyszy. — Tych, którzy się bronią, oni zabijają na miejscu. A tych, co się nie bronią, wywożą samochodami tak samo na śmierć. Więc co oni mają robić? Podpalają ich w domach i nie dają im wyjść. To matki zawijają dzieci w co tam mają miękkiego, żeby ich mniej bolało, i wyrzucają z okna na bruk! A później wyskakują same... Niektóre skaczą z najmniejszym dzieckiem na rękach...

Podeszła bliżej.

— Z jednego miejsca od nas było widać, jak ojciec wyskakiwał z takim mniejszym chłopcem. Namawiał go, ale ten chłopiec się bał. Stał już na oknie i jeszcze się łapał za ramę przed tym ojcem. I czy go ojciec zepchnął, czy jak — tego nie było widać. Ale oba razem, jeden za drugim spadli.

Znowu zapłakała i drżącymi rękoma wycierała twarz.

— I nawet jak tego nie widać, to my słyszymy. To słychać, tak, jakby coś miękkiego klapnęło. Plask, plask... Wciąż tak wyskakują, wolą wyskoczyć, niż się za życia spalić w ogniu...

Nasłuchiwała. W miękkim nawoływaniu się ptaków cmentarnych rozeznawała dalekie odgłosy ciał, upadających na kamienie. Dźwignęła polewaczkę i odeszła z nią w stronę żółtych i granatowych bratków na grobach. Niebem nadpływał nowy samolot od strony lotniska i wielkim zakolem zdążał ponad mury getta.

* * *

Rzeczywistość jest do zniesienia, gdyż jest nie cała wiadoma. Dociera do nas w ułamkach zdarzeń, w strzępach relacji. Wiemy o spokojnych pochodach ludzi, idących bez sprzeciwu na śmierć. O skokach w płomienie, o skokach w przepaść. Ale jesteśmy po tej stronie muru.

Kobieta na cmentarzu widziała to sama i słyszała. I dla niej jednak rzecz tak przeplotła się z komentarzem, że zatraciła swoją rzeczywistość.

HELENA BOGUSZEWSKA

Buraczkowe plakaty

Już ranek. I tak się udało, że noc przeszła spokojnie — no więc przedłużyć tę noc jeszcze choć o kwadrans, jeszcze choć o pięć minut... Połapać, posklejać jakoś rozłażące się, pierzchające, tracące moc i ważkość strzępy przedrannego snu, pogrążyć się weń jeszcze choć na chwilę, jak w sztuczną ciemność pod kołdrą, choć światło nowego dnia wchodzi już szparami zaciemnienia...

Ach, na nic, na nic to wszystko: nowy dzień już podminowuje człowieka nowym niepokojem, nową udręką, pogania mnogością spraw trudnych do załatwienia, po prostu niemożliwych do załatwienia, a niezbędnych: wystarać się o węgiel, dowiedzieć się o tanią mąkę, wyszukać bezpieczne miejsce na jutrzejsze tajne zebranie, uprzedzić kogoś, żeby nie nocował w domu, bo już go podobno szuka Gestapo, wystarać się o kartkę na buty, dowiedzieć się o dawno już obiecaną lewą kartę pracy, starać się, starać się, starać się...

Ręce niechętnie podnoszą ciężkie zasłony zaciemnienia, oczy podejrzliwie lustrują pustą jeszcze ulicę. Wydaje się, że jest spokojnie, ale nic jeszcze nie wiadomo. Dopóki syn sklepikarza nie wróci ze swoim ręcznym wózkiem, z tym swoim nieodstępnym wózkiem, który mu niby to zapewnia jego bezpieczeństwo, dopóki dozorca domowy nie nagada się z innymi dozorcami domowymi, dopóki tu i ówdzie telefony nie ostrzegą, nie powiedzą jak jest dzisiaj na mieście...

Zaczęło się. Syn sklepikarza szczęśliwie wrócił, ale powiedział, że łapią na dworcu, że otoczyli hale, ale nie wiadomo, czy biorą tylko towar, czy też i ludzi. Pewnie jedno i drugie. Ciotka z Brackiej chytrze zatelefonowała do kogoś, że pogoda jest wietrzna i zła, więc teraz rano lepiej nie wychodzić. Czyjaś bratowa mniej chytrze zadzwoniła, precyzując, że jest bardzo zimno na Puławskiej i w okolicy Placu Teatralnego, a ktoś inny zupełnie już otwarcie, nie bacząc na ewentualny podsłuch, ostrzegł telefonicznie, że łapią na Marszałkowskiej i na Placu Trzech Krzyży, więc lepiej siedzieć w domu, jeśli nie ma nic specjalnie ważnego.

A jak tu siedzieć w domu? Przecież nie można wiecznie siedzieć, przecież jest masa ważnych rzeczy, przecież trzeba się starać, przecież trzeba żyć! A zresztą czy to nie wyciągają ludzi także z mieszkań?

Ot i teraz właśnie w tej chwili: ręce szamocą się z całym aparatem sznurków, podtrzymujących czarny papier na oknie, a oczy wypatrują: coś ciemnego u wylotu ulicy. Buda, czy nie buda?

W mrocznej jeszcze głębi pokoju ciche dyskusje: kiedy tak, to lepiej niech on teraz nie idzie. Ja pójdę. Kobietom zawsze łatwiej.

— Jak to łatwiej? Przecież wczoraj zabrali z tramwaju na Mokotowie właśnie kobiety, nawet z małymi dziećmi.

— No tak, wczoraj, ale na ogół...

— Nie ma żadnego na ogół...

Milczenie. Przy oknie udręczone oczy decydują: tak, to jednak buda, na pewno buda. Stoi przed bramą pod 18, może pod 20. Przyjechali po kogoś, czy też wezmą wszystkich z tego domu? Skończą na tym jednym domu, czy też wezmą się do innych?

Za plecami w mrocznej głębi pokoju zapada postanowienie: pójdziemy razem! Niech się co chce dzieje, idziemy razem! Ja już nie jestem w stanie czekać na ciebie, wrócisz, czy nie wrócisz! Wiem, wiem, traci się czas na takie łażenie razem, ale już nie jestem w stanie...

Przy oknie nikt już nie słucha. Przy oknie zrobiło się nagle spokojnie, prawie wesoło: buda odjechała! Zdaje się nawet, że nikogo nie wzięli. Więc skoro już byli i odjechali, to dziś na tę ulicę już nie przyjadą!

Oczy odwracają się od okna: wiecie, że na rogu była buda?

W głębi pokoju na chwilę wszystko zamiera. Potem wszystko leci do okna: Jak to, była buda z żandarmami? Widziałeś i nic nie mówiłeś?

I zaraz triumfalnie: Ale odjechali! Więc już dziś chyba nie przyjadą.

Dziś nie przyjadą! Odprężenie. Odpycha się tamte sprawy, tamte telefony, gadania w sklepiku. Ach usiąść, ach usiąść spokojnie i zjeść śniadanie. Przecież musi być jakaś chwila spokoju. Trudno, złapią to złapią. A może jednak nie złapią? Trzeba przecież jakoś żyć. Zresztą już przez trzy dni nie było na mieście buraczkowych plakatów!

— Idziesz? Idziecie? I ty idziesz? Kiedy wrócisz? Tylko żeby nie na ostatnią chwilę.

— Czy ja wiem? W każdym razie postaram się wcześnie.

— Wy tak zawsze obiecujecie, a potem z tego czekania to się wariuje.

— Ach już dobrze, już dobrze.

Szybkie zbieganie po schodach, uważne rozglądanie się w bramie, a potem bieganie po ulicach, pełnych ludzi. To nic, że tu i tam SS-owcy niedbale przewalającym się krokiem idą ławą wpoprzek chodnika i rozważnie upatrują sobie jednego, drugiego, dziesiątego... **Hände hoch!** Ustawili ich rzędem pod ścianą, twarzami do muru, zaraz przyjedzie buda i zabierze ich, za minutę będzie już wszystko zwyczajnie.

Do przepełnionych ponad wszelką miarę tramwajów pchają się dalej ludzie. To nic, że na Nowym Świecie i na moście Kierbedzia Niemcy zatrzymali tramwaj. Kazali wszystkim wysiąść i zabrali do już czekającej budy. Za chwilę już ludzie tak samo się pchali do następnego tramwaju.

Kawiarnie są pełne ludzi. To nic, że na Marszałkowskiej Gestapo.

To wszystko nic, wszystko nic, byle by nie było tych wielkich buraczkowych plakatów.

Jesienny, mętny dzień warszawski unosi się nad ulicami pełnymi ludzi śpieszących, handlujących, zalatanych, załatwiających niezliczone sprawy, starających się wiecznie o coś, tych, co sprzedają ostatnie łachy i ostatnią książkę, i tych, co się bogacą na wojnie; tych, którzy z narażeniem życia ukrywają żydów, i tych co dają na nich donosy; tych, którzy szukają na jutro lokalu na tajne zebranie i tych, którzy ich właśnie szukają, żeby ich wydać Niemcom; bohaterów i szantażystów, różnych, różnych, różnych.

Jesienny dzień przewala się już na drugą stronę: kartka na buty załatwiona, mąki i oleju jak nie było tak nie ma, miejsce na zebranie jest, kogo trzeba tego się ostrzegło, lewa karta pracy niby to obiecana, ale nie wiadomo co z tego wyjdzie a zresztą, czy to nie biorą także i z kartami pracy?

Jesienne, mętne powietrze mętnieje jeszcze bardziej. W tramwajach, teraz już pękających od tłoku, zapalają się niebiesko - przyciemnione światła — pośpiech rośnie — zbliża się godzina policyjna. Po domach nad dogotowującym się chudym obiadem rośnie napięcie czekania: wróci? nie wróci?

I od razu na wszelki wypadek próba pociechy, że jeżeli nie wróci, to także jeszcze nic. Bo może przenocuje u ciotki, a może u Antoniowej, a może tu, a może tam.

Bo przecież trzeba jakiejś pociechy, żeby żyć. Ale pod wątłą pokrywką pociechy twarde postanowienie: jeżeli nie wróci, to zaraz rano idziemy na Skaryszewską. Na Skaryszewską!

Bo ci wywożeni budami i wzięci na ulicy z „łapanki” znajdą się wieczorem na Skaryszewskiej. W dawnym lokalu szkoły

powszechnej tłok, wrzask, przekleństwa; będą wyglądali oknami na ulicę poprzez hełmy wartujących z automatami SS-owców, czy nie przychodzi dla nich ratunek: matka, żona, siostra, brat, przyjaciel — żeby ich wypuścić za pięć tysięcy złotych, za dziesięć, za sprzedaną maszynę do szycia, za sprzedane palto, warsztat, narzędzia, za sprzedane ostatnie możliwości życia. Tylko trzeba się śpieszyć z tym wykupieniem, bo za trzy dni wywiozą ich do Prus, paczkę z jedzeniem trzeba posłać i coś ciepłego do ubrania, bo wzięli dziewczynę, jak biegła w samej sukience do sklepiku...

Tak, tak wszyscy w tramwaju mówią o Skaryszewskiej. Ktoś płacze. Mówią także o czym innym, o tym najgorszym, ale tego się nawet nie chce słuchać.

W jakieś chwili trzeba wysiąść. Nie, nie wysiąść z tramwaju, tylko być wypchniętym, wywalonym przez ciżbę ludzką, w groźną, zaciemnioną ulicę. Przez chwilę postać i wydychać zgniecenie całego ciała. Musi się przy tym myśleć, że Dąbrowskiemu połamali żebra w tramwaju, że Witkowskiej przy wysiadaniu nadjeżdżające z ciemności auto obcięło obie nogi, że dokupienie oberwanych guzików będzie kosztowało całą kupę pieniędzy i że pewnie już jest po godzinie policyjnej...

Pędzenie przez czarne ulice. Jak to dziwnie, że w tej ciemności nie spotykają się jakoś ci, co piszą białą kredą na ciemnym parkanie i czarną smołą na białym chodniku, że Polska żyje, że Polska walczy, że się nie spotykają z tymi, co rozlepiają buraczkowe plakaty. Bo przecież...

W domu wszyscy szaleją: jesteś! Już 3 minuty po ósmej. Myślałam, że już nie wrócisz... Zupełnie wariowałyśmy obie z ciotką. Zaraz rano miałyśmy lecieć na Skaryszewską!

Niechętne milczenie przy zdejmowaniu palta z oberwanymi guzikami. I dopiero po chwili:

— Wiesz, w tramwaju jakaś kobieta płakała, że jej córka jest na Skaryszewskiej, to wiesz, co jej odpowiedzieli? Że powinna się cieszyć, że ma córkę na Skaryszewskiej i że jej nie wyczytała na tym wielkim buraczkowym plakacie... Bo mówili, że przed wieczorem znowu była egzekucja na Młynarskiej. Rozstrzelali 70 osób. Znowu jutro na mieście będą te najgorsze, te buraczkowe plakaty.

H. KARMEL

Wysiedlenie widziane oczyma dziecka

Pim ciągnie krzesło, zaprzężone w długi sznur, po glinianej podłodze izby.

Krzesło jest ciężkie, dwa razy większe niż on, i Pim aż spotniał i poczerwieniał z wysiłku. — Wio! — woła — he-ta wio! — i rozgląda się dokoła. Ale dzisiaj nikt nie zwraca na niego uwagi. Mamusia leży skulona na łóżku, Dita wygląda oknem, „Mama Hejka" kręci się tam i z powrotem po izbie, a tatuś bębni palcami o stół. Pim jest bardzo zdziwiony. Pim nic nie rozumie. Patrzy chwilę, a potem oświadcza głośno: „Teraz będę młócił" — i czeka na efekt. A kiedy i to nie pomaga, Pim próbuje ostatniego już i niezawodnego środka: „Wio" — woła — „wio — psiaklew, cholela!"

Teraz mamusia zejdzie z łóżka, da mu lekkiego klapsa, a w oczach jej błyszczeć będą ogniki śmiechu: „Ty smarkaczu" — powie, „ty smarkaczu, kto ciebie uczy takich słów?" — i wszyscy będą się śmieli. Ale mamusia leży nieporuszona na łóżku. Dita wygląda oknem, a tatuś bębni palcami o stół. — Strasznie dziwni są ci dorośli, nigdy nie wiadomo jak postąpią za chwilę. I Pim unosi w górę ramionka, co jest u niego oznaką najwyższej pogardy i stara się wdrapać na krzesło. Jedno kolanko, drugie, prostuje nóżki, ot tak! Patrzcie jaki jest wysoki, widzi nawet, co się za oknem dzieje. I widzi pole i drogę i kapliczkę, i Marcinka z Krasulą. Szczęśliwy ten Marcinek! Jak Pim dorośnie, też zostanie pastuchem, albo prezesem jak wujciu Szulim... — O, wujciu Szulim! Idzie właśnie. Pim już z daleka poznaje jego czapkę, kurtkę i cholewy. Wujciu Szulim jest wysoki, wysoki aż do nieba... no, aż do nieba może nie, ale jest naprawdę bardzo wysoki i musi schylić głowę kiedy przechodzi przez drzwi. Wujciu Szulim jest „pan prezes", nosi opaskę z czerwonym napisem i wszyscy kłaniają mu się pierwsi. Wspaniały jest ten wujciu Szulim! Nie pali papierosów tylko fajkę i pachnie tak specjalnie, tak... na po prostu pachnie wujciem Szulim.

Zaraz wejdzie, otworzy drzwi i — „Pimpek!" — zawoła od progu — „Pimpek" — i schyli się i będzie taki maleńki jak Pim, a potem podniesie Pima wysoko do góry i Pim będzie taki wielki, jak wujciu Szulim. — „Ty guniacu" powie wujciu — „Ty guniacu" — i pocałuje go tak mocno, że aż buzię podrapie mu szorstkim policzkiem.

I Pim złazi z krzesła i drepcze do drzwi prędziutko, żeby otworzyć wujciowi Szulimowi. A wujciu Szulim wchodzi i wcale go nie widzi. A kiedy Pim chwyta go za lewą nogawkę spodni, wujciu Szulim odsuwa go niecierpliwie jak gdyby Pim wcale nie był Pimem, ale Azorkiem, albo Marcinkowym Burkiem. Wujciu Szulim podchodzi do tatusia, pochyla się nad nim i szepcze mu coś na ucho i tatuś staje się nagle bardzo biały i patrzy na mamusię, mamusia patrzy na wujcia Szulima, i „Mama Hejka", i Dita, i wszyscy mają takie wielkie oczy. Zaczynają mówić coś bezładnie i głośno, wszyscy razem, to znów cicho szeptem, głowy pochylają się ku sobie, oddalają — mamusia ukryła twarz w dłoniach. Tatuś wstaje, przystawia drabinę do pułapu, wdrapuje się na nią, szuka czegoś w słomie strzechy, szuka i znaleźć nie może. — „Jak mogłeś to tak głęboko zagrzebać?!" — denerwuje się „Mama Hejka"; — „Jak mogłeś to tak głęboko zagrzebać" — powtarza Pim i śmieje się, podtrzymuje drabinę od dołu. Patrzcie, patrzcie jak pomaga tatusiowi! Ale dzisiaj nikt tego nie widzi.

Lecz już coś innego zwraca uwagę Pima. Bo oto Dita wysunęła na środek izby stary wielki kufer. Ten sam kufer, który wędrował z nimi od Krakowa do Lublina, od Lublina do Siedlisk, przez wszystkie etapy ich tułaczej wędrówki. Kufer otwierano rzadko. Kufer był skarbcem zaczarowanym. Leżały tam zanaftalinowane ubrania zimowe, szmatki aksamitne, jeszcze z sukni babuni, wachlarz z kości słoniowej i wiele innych rzeczy. A na samym dnie leżały obrazki, na których był tatuś, jeszcze mały chłopczyk, niedużo większy niż Pim i mamusia wtedy, kiedy Pima nie było jeszcze na świecie, albo „kiedy był na dachu", jak mówi wujciu Szulim. Obrazków tych nie wolno było Pimowi brać do ręki, czasem tylko mamusia brała go na kolana i opowiadała różne historyjki. Teraz leżą na glinianej podłodze, niepotrzebne, nieważne jak śmieci.

I Pim siada, zbiera rozrzucone fotografie, ogląda i nikt nie troszczy się o to, że Pim nosi świeżo uprane spodenki, a podłoga jest brudna.

Otwierają się drzwi i wchodzi pan Adler i wujciu Engländer z kozią bródką i głupi Majorek-Jąkajła i mówią coś do wujka Szulima i wujciu Szulim staje się nagle czerwony na twarzy, wskazuje na „szafę Judenratu" i krzyczy, krzyczy, tak że Pim nie poznaje dobrego, uśmiechniętego wujcia Szulima.

Zwabiony tym krzykiem wchodzi wujciu Hesiu. Pim bardzo kocha wujcia Hesia. Wujciu Hesiu umie tak wspaniale się bawić. Bierze Pima na kolana, wtyka mu tutkę od papierosa do

ust i „apfuu”—robi—„apfuu”. — Czapka jest duża, spada na nos i Pim aż pęka ze śmiechu. Wujciu Hesiu śmieje się także: „Ty jesteś już dorosły Żyd” — mówi. — „Tobie nie wolno bez czapki.”

Wujciu Hesiu! Co on robi? Jest zupełnie ubrany, a wkłada na koszulę jeszcze jedną i jeszcze jedną, na spodnie nasuwa drugą parę i chce zapiąć guziki i nie może, tak bardzo trzęsą mu się ręce. Taki dorosły wujciu Hesiu nie umie zapiąć guzika! Jakie to śmieszne. Wujciu Hesiu wymyśli zawsze coś śmiesznego. Umie tak wspaniale się bawić!

Znowu otwierają się drzwi i wchodzi Hanka z Szymkiem. Hanka trzyma Szymka mocno pod rękę i mówi coś prędko do wujcia Hesia. Wujciu Hesiu szuka czegoś po kieszeniach, wyjmuje, podaje Hance i wyciąga do niej obie ręce. A Hanka krzyczy. Co krzyczy Hanka? Krzyczy: „Nie żegnaj się, nie żegnaj!”; odwraca się i biegnie naprzód tak szybko, jakby ją kto gonił, i nie odwraca się za siebie.

I wujciu Hesiu zostaje tak z wyciągniętymi rękami... Stoi przez chwilę bez ruchu, a potem opuszcza ręce powoli, powoli, jakby to były bardzo ciężkie dwa obce pałąki przytwierdzone po obu stronach tułowia. A kiedy odwrócił się, Pim zobaczył, że wujciu Hesiu płacze.

I nie zdążył nawet zapytać dlaczego płacze wujciu Hesiu, bo znów otworzyły się drzwi i weszła ciocia Micia i Ira i Natalka od Adamiaków. Ira tłumaczyła coś cioci Mici i wymachiwała rękami, a ciocia Micia miała taką minę jakgdyby nie rozumiała wcale, czego Ira właściwie od niej chce i dlaczego tak wymachuje rękoma.

Natalka zdejmuje z głowy białą kwiecistą chustkę i kładzie ją Irze: „Panienka to świetnie wygląda” — mówi. I mówi coś jeszcze czego Pim nie rozumie i z potoku słów dociera do niego tylko jedno: „Żandarmeria”. Pim wybucha płaczem. Pim nie wie co to „żandarmeria”, wie tylko, że to coś strasznego, bo w t e d y, też mówili „żandarmeria” i wtedy wujcio Miszko wyszedł i długo na niego czekano z kolacją i wujcio Miszko nie wrócił już więcej. Marcinek mówi, że Niemcy zabili wujcia Miszka. Pim nie wie co to „zabili”, ale wie, że to jest coś, czego należy się bać. I dlatego teraz wybucha płaczem.

I wtedy dopiero go zauważyli. I wtedy mamusia krzyknęła tak strasznie: „Dziecko!” — krzyknęła — „Dziecko! — co będzie z dzieckiem?!” i ukryła twarz w dłoniach.

I wszyscy patrzeli na Pima, a tatuś spoglądał to na Pima to na mamusię, a dolna warga drgać mu zaczęła gwałtownie, że

aż zębami przygryźć ją musiał, żeby nie drgała. I wtedy zrobiło się bardzo strasznie cicho.

Pim wspina się na kolana mamusi, odrywa jej ręce od twarzy, pochyla główkę i stara się spojrzeć w oczy. Pim jest jeszcze bardzo maleńki. Pim ma dopiero trzy latka. Gdyby był starszy i mądrzejszy, zauważyłby może, że oczy jego matki są w tej chwili takie jak jego własne. Nic nie rozumiejące, zdziwione, bezradne.

Mamusia zsadza Pima z kolan, podchodzi do łóżeczka, wyjmuje spod poduszki ubranko Pima, klęka przed nim, zsuwa mu z nóżek domowe ciapcie, całuje maleńkie, ciepłe stópki, najpierw jedną, potem drugą, i jeszcze raz i jeszcze raz. Pim już jest spokojny, już nie płacze, tylko podchlipuje z cicha i przez łzy pyta: „Mamusiu" — pyta — „mamusiu, dlaczego kładziesz mi brudne butki?". Cholewki nowe błyszczące cholewki, jego duma, są zabłocone, a mamusia zdaje się nie widzieć tego zupełnie.

I wtedy usłyszeli ciężkie kroki, czyjeś głosy dziwne i obce, i otworzyły się drzwi, i wszedł pan wójt Kowalik z długimi wąsiskami i jeszcze jeden pan, taki bardzo wysoki pan w zielonym ubraniu z blaszanymi guzikami i żelaznej czapce na głowie. Wysoki pan krzyczy coś do wujcia Szulima i wymachuje w powietrzu małym, czarnym przedmiotem. I wtedy wujciu Szulim, ten wielki wspaniały wujciu Szulim kurczy się nagle i staje się taki zupełnie mały.

Wychodzą przed dom. A przed domem stoi wóz. Siadają na wóz. I mamusia, i tatuś, i wujciu Szulim, i ciocia Rega, i Mimi, i Putzi, i Mama-Hejka, i Dita i — i wujciu Hesiu. Wóz zachybotał, zatoczył się, ruszył rozpryskując kałuże błota po drodze, a za tym wozem wiele innych takich samych wozów. Mamusia tuli Pima mocno do siebie, tatuś obejmuje mamusię ramieniem, wujciu Szulim trzyma z jednej strony ciocię Regę, z drugiej Mimi, Putzi. Mama Hejka i Dita usiadły obok siebie tak blisko, że niewiadomo gdzie zaczyna się jedna, a kończy druga, tylko wujciu Hesiu jest sam. Wujciu Hesiu wzniósł oczy w górę i porusza bezgłośnie wargami. Wujciu Hesiu się modli...

Pimowi robi się nagle bardzo żal wujciu Hesia, że jest taki zupełnie sam, zsuwa się z kolan mamusi, podczołguje do niego i kładzie swoją maleńką, ciepłą piąstkę na ciemnej dużej dłoni wujcia Hesia. Wujciu Hesiu patrzy na niego smutno łzawo kiwa głową i nie przerywa modlitwy. A potem pochyla się nad Pimem i mówi cicho: „Pamiętasz" — mówi — „pamiętasz, jak uczył cię wujciu, jak prosi się Pana Boga?." Pim pamięta i powtarza za wujciem.

Wóz zatacza się, chybocze i podskakuje na wybojach Coraz ciemniej, coraz zimniej, mży... Mamusia otula Pima szczelniej kocem; Pim zasypia cichutko. Mamusia patrzy na jego zaróżowione snem policzki, na cienie rzęs, patrzy tak długo, aż łzy przesłaniają jej oczy i rozpływa się w nich twarzyczka Pima. Pochyla się nad nim i całuje, najpierw leciutko, delikatnie, żeby go nie zbudzić, potem coraz mocniej, gwałtowniej, dziko, rozpaczliwie. Pim budzi się i wybucha płaczem. Pim czuje, że to nie są zwykłe pocałunki. Przeraża go dzika gwałtowność pieszczoty „Mamusiu" — krzyczy — „czemu tak przyciskasz? — boli!".

Pim jest jeszcze bardzo maleńki, Pim ma dopiero trzy latka, Pim nie wie co to „pożegnanie". Pim nie rozumie wielu innych, strasznych rzeczy.

Wóz zatacza się, chybocze i podskakuje na wybojach. Coraz ciemniej, coraz zimniej, mży. Coraz wyraźniej zarysowują się kontury kościoła w Izbicy.

A w Izbicy czekają wagony...

ALEKSANDER MALISZEWSKI

Z cyklu „Dom na krawędzi czasu"

* * *

Między sosnami traw — w ogromnej rowu puszczy —
ciężar przez bruzdy, które rosy bieg rozkopał,
dźwiga mrówka, podobna do babiny w chustce,
wiązkę suchych gałęzi ciągnącej na opał —

między sosnami traw — na spadzistych żlebach,
w cieniu wielkości włosa kryje się i czeka,
czy jak grom z dalekiego bezchmurnego nieba
uderzy, nie uderzy w nią stopa człowieka —

a rowem bezustannnie burza ludzkich kroków
ciągnie za rytmem żelaznego grzmotu —
a w górze — ponad drogą — poezja obłoków,
a wśród poezji — w słońcu — srebro samolotu.

1941.

SCHERZO

Jeśli nad mędrca szkłem przeleci ptak, chociaż piękniejszy
[byłby ponad
wszystkie poranki w kwitnących ogrodach,
przez czoło zmarszczka przepłynie. — Na rzece
tak właśnie budzi się z zapatrzeń dziecię,
i z łodzi się wychyla, bo zda się, że łatwo
mocne zgina się wiosło, gdy pada nań światło —
Jeśli pod lupą mędrca — kształt nowego życia —
nie piękno, lecz istnienie kształtu go zachwyca
i tak wpatrzony dotąd aż mgłą zajdą oczy
i obraz się zaciemni i zginie. — Przed nocą
promień słońca czerwono barwi kroplę rosy
i kropla wraz ze słońcem gaśnie, a niebiosa
zroszone coraz srebrniej — coraz srebrniej płonie
ręka poety, gdy ją na srebrne kładł skronie,
obudzony z zapatrzeń wśród młodej zieleni —
daleki tętent czołgów za serce wziął ziemi.

1943.

CZESŁAWA WOJEŃSKA

Halina Krahelska

(Z teki Instytutu Pamięci Narodowej)

Nazwisko Haliny Krahelskiej szeroko znane było i głośne w Polsce przedwojennej. Jedni znali Ją z działalności społecznej i politycznej, inni z działalności, jaką rozwijała jako Inspektor Pracy. Jedni byli Jej słuchaczami z Wolnej Wszechnicy czy licznych odczytów, jakie wygłaszała w organizacjach społecznych, politycznych i zawodowych. Inni byli pilnymi i wiernymi czytelnikami Jej pamiętników, artykułów, broszur, reportaży i powieści.

Była człowiekiem i działaczem głośnym, bo niepowszednim. Nikt, kto się z nią zetknął, nie mógł pozostać wobec niej obojętny. Stawał się albo Jej zwolennikiem albo wrogiem. Bo była człowiekiem określonych, twardych przekonań, gorących uczuć i gorące budziła uczucia. Jej racjonalistyczny stosunek do świata otaczających zjawisk intelektualistki podmywał rwący nurt pasji społecznika-działacza, fanatyka-aktywisty.

Halina Krahelska urodziła się 12 maja 1892 roku w Odessie. Ojciec Jej, Jan Śleszyński, był profesorem logiki matematycznej na uniwersytecie Odesskim, a od roku 1912 w Krakowie na Uniwersytecie Jagiellońskim. Wpływy intelektualnej atmosfery domowej od najwcześniejszego dzieciństwa kształtowały Jej umysł. Głębokie patriotyczne nastroje domu przeniknęły na zawsze do duszy dziecka. Ale jednocześnie równie wielki wpływ wywarło na kształtowanie Jej osobowości środowisko rosyjskie. z którym stykała się od najmłodszych lat. Wyraziło się to i w sposobie bycia i języku, jakim przemawiała i pisała Halina Krahelska, w jej obyczajach i w charakterze.

Jej niezmiernie bogate życie duchowe wydawało się wielu, mniej dobrze znającym Ją ludziom, jakieś dziwne, obce, jakby egzotyczne: intelektualizm i fanatyzm, najszersze zainteresowanie życiem, światem, ludźmi — i wąski, „sekciarski" stosunek do otoczenia, jego postępków i poczynań; zdolności literackie i malarskie w połączeniu z zupełnym nieuznawaniem sztuki, jeśli nie podporządkowuje się i nie służy wyraźnym kierunkom społecznym.

Dziwne i ciekawe, bogate i różnorodne życie Haliny Krahelskiej uczyniło z Niej istotę tak niepowszednią, że ludzie,

którzy zetknęli się z Nią w końcowym okresie Jej życia, nie mogli łatwo zrozumieć złożonej i skomplikowanej natury, mimo niezwykłej prostoty i szczerości. Krytyka literacka nieporadnie stawała wobec Jej twórczości, wobec niewątpliwego talentu i pasji pisarskiej w takich książkach, jak „Polski Strajk", „Zdrada Heńka Kubisza", „Wspomnienia rewolucjonistki", a jednocześnie wobec braków literackich zupełnie prymitywnych i uderzających. Jej prace naukowe, socjologiczne były również mieszaniną. Mieszaniną doskonałej marksistowskiej analizy rzeczywistości ze zbyt szybkimi, zanadto łatwymi i często nieoczekiwanymi i demagogicznymi uogólnieniami.

Nie było to przypadkiem. Ani nie wynikało z braku uzdolnień. Tylko — że wszystko co robiła podporządkowywała potrzebom aktualnej chwili, potrzebom realnego życia. Nie była, i sama podkreślała to często, ani literatką, ani człowiekiem nauki, choć w każdą z tych dziedzin wniosła swą pracą wartości nieprzemijające, była działaczem społecznym, który jeśli trzeba było, posługiwał się piórem, czy pracą naukową, ale który traktował to zawsze tylko jako środek pomocniczy w swej politycznej i społecznej działalności. I tylko wtedy, kiedy od tej strony spojrzymy na postać i życie Haliny Krahelskiej, stanie się ono dla nas jasne i zrozumiałe.

Wszystko było błahe, wszystko było mało ważne — ważna była pasja społecznika, z jaką pracowała i walczyła o zmianę stosunków społecznych, o zmianę ustroju świata na lepszy, sprawiedliwszy.

Halina Krahelska w bardzo wczesnej młodości, jeszcze w czasach gimnazjalnych, zetknęła się z pracą nielegalnych stronnictw politycznych carskiej Rosji. W latach uniwersyteckich w Odessie, Kiszyniowie, dokąd została zesłana za udział w strajku uniwersyteckim, a później w Kijowie należała do partii socjalistów-rewolucjonistów. Aresztowana w roku 1912 w związku z tą działalnością, siedziała dwa lata w więzieniu kijowskim, następnie została skazana na zesłanie do Wschodniej Syberii. W tym czasie wychodzi za mąż za towarzysza partyjnego Grabiankę, który jedzie z nią dobrowolnie na zesłanie. Uwolniła ich dopiero Rewolucja Październikowa. Halina Grabianczyna wraca do Odessy i jest członkiem Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich z ramienia lewych eserowców. Wkrótce po powrocie z zesłania umiera Grabianka i Halina Grabianczyna w 1918 roku wyjeżdża do Polski, która właśnie odzyskała po wojnie światowej Niepodległość. Wstępuje do Polskiej Partii Socjalistycznej, pracuje w Ministerstwie Opieki Społecznej, gdzie specjalizuje się w zagad-

nieniach pracy kobiet i młodocianych. W tym czasie wychodzi po raz drugi za mąż, również za towarzysza partyjnego, inżyniera Antoniego Krahelskiego. W roku 1927 zostaje wysłana jako stypendystka fundacji Rockfelerowskiej za granicę, gdzie bada zagadnienia ochrony pracy, zwiedza odpowiednie instytucje — Szwajcarii, Francji, Austrii i Niemiec. Po powrocie specjalnie interesuje się sprawą żłobków fabrycznych i jest w Polsce pionierką w tej dziedzinie.

Stosunki polskie, z którymi zetknęła się po raz pierwszy już jako zupełnie dojrzały i ukształtowany człowiek, zaskoczyły Ją swoją odmiennością od tych, do których przywykła czasu swej rewolucyjnej działalności w Rosji. Upojenie z powodu odzyskanej przez Polskę wolności nadało jej społecznikowskiej pasji specjalne zabarwienie. Poczuła tęsknotę do pozytywnej, konstruktywnej pracy państwowej. Rozpoczyna więc jako Inspektorka Pracy działalność, która wkrótce staje się walką o realną poprawę warunków pracy i bytu świata robotniczego w Polsce. W dwutomowym dziele „Z pamiętnika Inspektora Pracy" (łącznie z innymi inspektorami pracy — Marią Kirstową i Wolskim) daje wyraz tej działalności i opisuje etapy tej walki, dzieje zwycięstw i porażek na tym terenie.

A kiedy następuje okres „odpływu", kiedy opada fala reform społecznych i coraz trudniejsza i bardziej beznadziejna staje się walka o najdrobniejszą choćby, ale realną poprawę bytu robotnika polskiego, Halina Krahelska ustępuje ze stanowiska Inspektora Pracy i niepodzielnie oddaje się działalności publicystycznej, atakującej rząd sanacyjny za jego reakcyjne stanowisko i błędne poczynania.

W czasie pracy na stanowisku Inspektora wydaje nakładem Instytutu Spraw Społecznych „Łódzki przemysł włókienniczy" i „Pracę kobiet i młodocianych" oraz drukuje cały szereg artykułów w Przeglądzie Ekonomicznym. Na froncie gospodarczym, w Biuletynie Ministerstwa Pracy oraz w pismach Kurier Poranny, Epoka, Robotnik, Dziennik Powszechny, Lewy Tor i innych. W związku z szerzącymi się w Polsce coraz bardziej wpływami hitlerowskimi wydaje szereg broszur w tej sprawie, bierze czynny udział w Lidze Obrony Praw Człowieka i Obywatela i organizacji MOPR Po strajku krakowskim wydaje („Rój") powieść „Polski Strajk". Książka została skonfiskowana a autorce wytoczono sprawę w sądzie (pierwsza tego rodzaju sprawa w Polsce). Halina Krahelska zostaje skazana na grzywnę (1.000 zł). Z czasów bytności na Śląsku, w wyniku zaznajomienia się z panującymi tam stosunkami powstaje druga powieść „Zdrada Heńka Kubisza" (też częściowo skonfiskowana w prewencyjnej cenzurze), z racji której musi opuścić Śląsk.

W tym czasie zyskuje też szeroko kolportowane miano „komunistki", które w rezultacie podczas okupacji niemieckiej przyniosło Jej aresztowanie, obóz i śmierć.

Wrzesień 1939 roku zastał Ją w Warszawie na stanowisku Obwodowego Komendanta O.P.L. na Mokotowie. Tam działalność Jej w ciągu miesiąca walk o Warszawę, umiejętność, z jaką wykrywała członków piątej kolumny niemieckiej (między innymi osławionego docenta Warszawskiego Uniwersytetu germanistę, doktora Grundmana) sprawiła, że w dniu kapitulacji Warszawy, musiała opuścić swój dom, i rozpocząć pięcioletni okres tułania się i ukrywania pod różnymi nazwiskami. Zmienia 25 razy mieszkanie, używa siedmiu różnych nazwisk. Jest w tym okresie okupacji bardzo czynna. Pracuje zarówno w nielegalnej prasie socjalistycznej (Barykada Wolności, Robotnik), jak i w organizacji wojskowej. Przygotowuje materiały i dokumenty o okrucieństwach niemieckich w Polsce. W drugim roku wojny traci nogę w tragicznym wypadku na robocie. Ma tyle siły charakteru, że nie pozwala sobie nawet na omdlenie, nie daje się uśpić i wziąć na operację, dopóki nie sprowadzili do niej kogoś, komu mogła powierzyć wiezione dokumenty i papiery.

Nawet kalectwo nie oddaliło jej od pracy podziemnej. W dalszym ciągu, początkowo o kulach, potem na protezie pracuje i w tak ważnym pod okupacją R.P.P.S-ie i w organizacji wojskowej. Ćwiczy pilnie swoją sprawność fizyczną i bardzo szybko staje się zupełnie niezależna i niczyjej nie potrzebująca pomocy. Jest to jej ambicją — nie być nikomu ciężarem — mimo kalectwa. — Przeciwnie!

W tym okresie, kiedy Halina Krahelska opanowała już w pewnym stopniu chodzenie na protezie, aresztowano mojego męża. Musiałam wyprowadzić się z domu. Zamieszkałam w oddzielnym, kawalerskim pokoiku na 7-ym piętrze na ulicy Noakowskiego. Halina Krahelska niepokoiła się o mnie, o mój tryb życia. I oto pewnego dnia wprowadziła się na 7-me piętro, nie zwracając uwagi ani na swoje kalectwo, ani na bezpieczeństwo własne. Odtąd, kiedy po ciężkim dniu wracałam tuż przed godziną policyjną do domu, zastawałam obiad przygotowany starannie i ją samą gotową do wysłuchania mnie i do rady...

Tak rozumiała przyjaźń.

Rok 1944-ty przyniósł Halinie Krahelskiej konieczność wzmożonego ukrywania się. NSZ-etowcy wypuścili w tym czasie listę ludzi, komunistycznych według nich działaczy, których należałoby zlikwidować zanim Niemcy zostaną z Polski wyrzu-

ceni. Nazwisko Haliny Krahelskiej znalazło się na tej liście wśród innych. Zmusza ją to do jeszcze częstszej zmiany miejsca zamieszkania, do jeszcze trudniejszej tułaczki.

Niestety, nie uchroniło to Jej od aresztu.

13 lipca 1944 roku do małego zielonego płotku drewnianej willi w Milanówku zapukali dwaj nieznani mężczyźni. Gdy im otworzono, jeden z nich kiepską polszczyzną zapytał, gdzie jest starsza, siwa pani, która chodzi na protezie, i od razu palcem wskazał na ganek, na którym zwykle przesiadywała Halina Krahelska. Drugi nie odzywał się wcale. Może nie umiał po polsku? Nie czekając na odpowiedź przerażonej gosposi, poszli zaraz schodami na górę. Zastali Ją na ganku, rozmawiającą z łączniczką, która przed chwilą przyjechała z Warszawy. „Gdzie jest maszyna do pisania? — zapytał jeden z przybyszów. I od razu wziął ją z biurka i oddał milczącemu przez cały czas towarzyszowi. Kiedy brał maszynę, z papierów na biurku wysunęła się nielegalna gazetka. Wziął ją do ręki, obejrzał i chciał oddać razem z maszyną. Ale tamten tylko machnął lekceważąco ręką. To nie było ważne! To nie było potrzebne! Przeszukali woreczek Haliny, zrobili bardzo powierzchowną rewizję. Spieszyli się. I o nic nie pytali. Nie wylegitymowali nawet znajdującej się tam łączniczki, nie przejrzeli papierów. I to już nie było potrzebne. I już nie było ważne. Znaleźli osobę przez pięć lat poszukiwaną, po ośmiu nieudanych rewizjach w jej własnym domu. Jakież jeszcze obciążenie mogło być potrzebne osobie, która taki rejestr grzechów wobec hitlerowskiego reżimu miała na sumieniu? „Pójdzie pani z nami" padło jedyne zdanie.

Ale Halina Krahelska nie poddawała się łatwo. Może wydało jej się podejrzane że nie wylegitymowali ani jej, ani towarzyszki? Może nie rozumiała, dlaczego nie wymieniają nazwiska osoby, którą aresztują? Może obudził jej nieufność pośpiech i niedbalstwo dokonywanej nibyto rewizji? W każdym razie, opierając się mocno na lasce, z wysoko podniesioną głową, stojąc sztywno na swej jedynej nodze, zaprotestowała. — Nie wiem kim jesteście, nigdzie z wami nie pójdę. — Może jesteście zbrodniarzami z NSZ-tu i przychodzicie wykonać wasz ohydny wyrok. Nie pójdę z wami. —

— Pójdzie pani, — brzmiała odpowiedź — musi pani pójść.

— Nie pójdę — zabijcie mnie tu, jak zabiliście Widerszala w jego własnym domu. — Zresztą — z mordercami nie gadam.

Przybysze wymienili między sobą bezradne spojrzenia. Poczem ten, który milczał przez cały czas, podszedł do Haliny

i teatralno-kinowym gestem odchylił klapę marynarki. Twarz Haliny Krahelskiej wypogodziła się. Odetchnęła z ulgą. A więc Gestapo! Więc nie hańba bratobójczej, skrytobójczej napaści! I już zupełnie spokojna poszła za dwoma przybyszami do drzwi. Lekko, jakby nie miała protezy zamiast prawej nogi, zeszła ze schodów, przeszła przez ogród i wyszła na szeroką, pełną słońca ulicę aż do auta stojącego o kilkadziesiąt metrów dalej. W aucie siedział już prof. Handelsman.

Zawieźli ich do Radomia. Kiedy ofensywa zbliżała się, przewieźli do Częstochowy. Tam odbyła się sprawa. Halina Krahelska sądzona była nie za udział w walce podziemnej, o tym nic nie wiedzieli, a za przedwojenną antyhitlerowską działalność w słowie i piśmie, za całożyciową postawę i poglądy wrogie dla panującego w Niemczech reżimu. Po sprawie wywieziono Halinę Krahelską do Ravensbrück.

Słyszeliśmy wszyscy na pewno niejednokrotnie opisy życia kobiet w obozie Ravensbrückim. Przerażaliśmy się ogromem cierpienia jakie znosić musiały więźniarki. Myśleliśmy i myślimy ze zgrozą o codziennym trybie dnia obozowego. Nawet jeśli myślimy o młodych, zdrowych kobietach. Ale wyobraźnia nasza nie potrafi wcale stworzyć obrazu życia w tym obozie kobiety w wieku Haliny Krahelskiej i to kobiety pozbawionej prawej nogi, wysoko ponad kolano, kobiety na źle dopasowanej, wojennej protezie. Czy można sobie wyobrazić siłę ducha, która pozwoliła jej znosić trud i cierpienia obozu, pozwoliła jej zachować się tak, że trzykrotnie uniknęła „selekcji", to znaczy wybierania chorych, niedołężnych, kalek na natychmiastową śmierć? Kobiety, które przeżyły obóz w Ravensbrück i powróciły obecnie do Polski, opowiadają o życiu i pobycie Haliny Krahelskiej w obozie rzeczy, które są zdumiewające, ale dziwią tylko tych, którzy nie znali Haliny Krahelskiej. Ci, którzy ją znali lepiej, wiedzieli dawniej, zawsze wiedzieli, jaka być potrafi, znali jej dzielność, męstwo i odwagę. Znali jej bohaterski stosunek do życia i śmierci, jej surowe wymagania od siebie i otoczenia.

Dnia 19 kwietnia 1945 roku prawie w przeddzień wyzwolenia zmarła w obozie Ravensbrückim Halina Krahelska na głodową biegunkę, tak zwany w obozach „durchfall", do ostatniego tchu przytomna, zajęta nie sobą a „sprawą", przejęta postępami ofensywy Armii Czerwonej, oczekująca bliskiego wyzwolenia — w które ani przez chwilę nie wątpiła.

K. CZ.

Przegląd literacki

Pola Gojawiczyńska: Krata. Powieść. Spółdz. Wyd. „Czytelnik". Październik 1945. Str. 207.

Nowa powieść autorki „Dziewcząt z Nowolipek" nawiązuje jakby do jej najlepszej przedwojennej formy. Mamy tu znowu do czynienia z realizmem, upoetycznionym przez nurt liryzmu. Tym razem jednak przedmiot opowiadania, wzięty ze świeżej i bezpośrednio przeżywanej rzeczywistości okupacyjnej, z konieczności narzucił przymus stylu reportażowego. Kiedy jednak u większości autorów pokrewnych opowiadań spotykamy się niemal wyłącznie z rzeczowym, pamiętnikarskim opisem osobiście doznanych faktów, Gojawiczyńska nadała takiemu materiałowi więź kompozycyjną, opartą na równoległym przedstawieniu losów więźniarek Serbii na Pawiaku. W skupionej tej gromadzie kobiet zróżniczkowała różnorodność charakterów, z każdej czyniąc odrębną jednostkę, którą bliżej od wewnątrz poznajemy. Nie ma tu wprawdzie tej subtelności psychologicznego rysunku, jaką widzimy w powojennej nowelistyce Boguszewskiej, ani tej zwięzłości charakterologicznej, z jaką Nałkowska buduje swe „Medaliony". W zamian jednak Gojawiczyńska nie ograniczyła się do tematu nowelistycznego, lecz szereg takich tematów ujęła w kompozycję powieściową, związaną nie tylko wspólnym środowiskiem więziennym, lecz również wynikającą z tego losu społeczną przemianą kobiecych charakterów. Nie pominęła cieniów, chociaż celowo usunęła je w głąb, aby na pierwszym planie pokazać odporność psychiki społecznej wobec niemieckich ciemięzców. Zakończenie zaś powieści, aczkolwiek artystycznie słabsze od obrazów więziennych, wyznacza jednak w sposób dyskretny, lecz dostatecznie wyraźny, ideową wymowę zbiorowego losu. Nie wahałbym się porównać tej książki, jako wyraz dziejowej chwili, z „Krzyżami drewnianymi" Duhamela po wojnie poprzedniej. Toteż sądzę, że jest to utwór, godny polecenia do przekładu na obce języki. W naszej zaś literaturze, mimo pewne niedociągnięcia, których przesadzać nie należy, jest to pozycja nie tylko o wartości dokumentarnej, lecz również artystycznej.

Karol Bunsch: Dzikowy Skarb. Powieść z czasów Mieszka I, w 2 tomach. Warszawa 1945. Gebethner i Wolff. Str. 336 i 323.

Debiutujący tą powieścią autor przedstawia się od razu, jako pisarz dojrzały i wprawnie władający utrwalonymi metodami sztuki literackiej. W utworze jego nie spotykamy się z poszukiwaniem nowych dróg, ani też z innego rodzaju temperamentem bojowym. Gdyby nie pewne motywy i momenty „Dzikowy Skarb" określić by można jako w dobrym stylu powieść dla młodzieży. Jest to jednak powieść dla dorosłych. Materiał historyczny umiejętnie opanowany nigdzie nie obciąża fabuły, skomponowanej zręcznie i zajmująco. Charakterystyki są raczej przeciętne, lecz w swych wymiarach przekonywujące. Zapewne, że niejednokrotnie grozi autorowi banalność w tym znaczeniu, iż poprzestaje na tradycjonalnie utartych szlakach powieściowych. Styl ma jednak dobry, miejscami nawet ładny. Słowem w autorze „Dzikiego Skarbu" powitać wolno powieściopisarza popularnego w dodatnim rodzaju, powieściopisarza, który stać się powinien poczytny w szerokich kołach. A że historyczne tło powieści dało sposobność do przedstawienia także oblicza Niemców, jakie nam właśnie ujawniło się z tak jaskrawą bezwzględnością, więc i ten moment dodaje „Dzikiemu Skarbowi" szczególnej aktualności.

Maria Czanerle: Między zimą a wiosną. Warszawa (1945). Wydawnictwo Literackie Str. 45.

Pięć opowiadań, zebranych w tym tomiku, było pisane z zamierzoną tendencją propagandową. Trzeba jednak przyznać autorce, że nie ukrywając tego celu, umiała nadać mu piętno realistycznej prawdy. Narracja spokojna i bezpretensjonalna posiada charakter literacki. Chwilami nasuwa się porównanie z nowelistyką Konopnickiej. Jest to pochwała i zarzut. Pochwała o tyle, że Konopnicka należy do najlepszych w naszej literaturze przedstawicieli rodzaju. Zarzut dlatego, że od czasów Konopnickiej technika nowelistyczna uległa przecież rozwojowi. Jest to zresztą dość znamienny dla czasów obecnych objaw, że nasi dzisiejsi pisarze mniejszą wagę przypisując nowym poszukiwaniom formalnym, dla wyrażenia swej treści sięgają do dawniejszych wzorów realizmu umiarkowanego. Wprawdzie zaznacza się dążenie do humanistycznego uspołecznienia tematyki, lecz nie widać prób, w których nowe oblicze dziejowe przejawiłoby się własnym stylem literackim. Nie przesądza to przecież o przyszłości, skoro po wyzwoleniu się

spod pogromu trzeba naprzód zebrać i obliczyć siły, po których uświadomieniu nastąpi pora na rozpętanie talentów.

Xenia Żytomirska: Jan i Małgorzata. Warszawa. 1945. Wydawnictwo Eugeniusza Kuthana. Str. 223.

Zupełnie błaha historia pary małżeńskiej wraz z tym trzecim została odświeżona pomysłowo i zręcznie skomplikowaną kompozycją powieściową. Tu i ówdzie spotyka się inteligentne próby pogłębienia toku zdarzeń, bądź to od strony psychologii, bądź też przez motywy literackie. Autorka rozporządza bezspornym talentem i nawet potrafi nim igrać. Igraszki to wszakże do złudzenia przypominające robótki kobiece, z tą tylko różnicą, że narzędziem jest tu myśl i pióro. Mimo zastrzeżenia, które budzą się przy czytaniu, jest to lektura przyjemna.

Adam Ważyk: Stary dworek. Sztuka w trzech aktach. Spółdz. Wyd. „Książka", 1945. Str. 62.

Pojawienie się drukiem sztuki Ważyka rzuca ponury cień na politykę repertuarową naszych teatrów. Repertuar ów bowiem, jak powszechnie wiadomo, ogranicza się do rzeczy dawnych, a jeśli przypadkiem znalazła się w nim jedna lub druga współczesna sztuka polska, to okazywało się, że wybór jej był i politycznie i artystycznie chybiony. Tymczasem chodzą uporczywe słuchy, że w tekach dyrekcyjnych znajduje się materiał nowy i zupełnie wartościowy. Dowodem drukowanym, który każdy łatwo sprawdzić może, jest **Stary dworek** Ważyka. Tematem sztuki, osnutej na partyzanckiej walce polskiej z okupantem na wsi wiosną 1944 roku, jest wewnętrzna dojrzałość dworu ziemiańskiego do upadku. Idea ta nie jest sztucznie narzuconą tendencją, lecz wynika z rozkładu sił społecznych i z wewnętrznej charakterystyki osób dramatu. Budowa sztuki zwarta i zwięzła, postaci żywe i realne, dialog naturalny i sceniczny — czyli wszystkie zalety, wymagane od utworu teatralnego. Tymczasem dokoła dziejów **Starego dworka** przed wydrukowaniem książki wytworzyła się już cała legenda, która w przyszłości wejść powinna do obrazu pierwszego okresu naszego życia kulturalnego w oswobodzonej Polsce. Na razie zaznaczyć warto, że sztuka jest dobra, sceniczna i aktualna i że powody, dla których jej nie wystawiono wydają się mocno skomplikowane, skoro wytaczano je i z prawicy i z lewicy politycznej. Sądząc wszakże z repertuaru, jaki się realizuje, wnosić trzeba, że utworowi Ważyka na przeszkodzie stanęła właśnie jego aktualność, związana z ustrojowymi przemianami

naszego kraju. Tymczasem ta aktualność najbardziej przemawia za tym, aby sztukę wystawiono.

Zbyszko Bednorz: Glossy śląskie. 1945. Katowice. Wydał Jan z Bogumiła Kuglin. Druk prywatny, niesprzedażny. Str. 8 i 1 nlb.

Treścią tej publikacji jest dobór wypisów z dawnych źródeł i ksiąg, stwierdzających odwieczną polskość Śląska. Dobór umiejętny i żywo podany. Że zaś właśnie w Katowicach ukazał się ten pierwszy po wojnie polski druk bibliofilski, to również posiada szczególną wymowę. Nazwisko znakomitego typografa rodem ze Śląska, dobrze znane wszystkim bibliofilom z jego przedwojennych rzadkich i poszukiwanych druków poznańskich, świadczy samo za siebie. **Glossy śląskie** tamtym zupełnie nie ustępują. Stary, dąbrowicki papier czerpany, dobór czcionek i ich układ, ogólny wreszcie wygląd książki czynią z niej istny smakołyk bibliofilski. Treść jej jednak wymaga drugiego popularnego wydania, dostępnego szerszym kołom czytelników.

NOWE POEZJE

Maria Castellatti: Pole Mokotowskie. Spółdz. Wyd. „Książka", 1945. Str. 42. — Teofil Kowalczyk: Tamtym dniom. Miechów — Kraków, 1945. Nakładem drukarni St. Jeżewskiej. Str. 32. — Andrzej Nowicki: Podróż do świętej ziemi. Spółdz. Wyd. „Czytelnik". Październik, 1945. Str. 46. — Józef Ozga Michalski: Oberek świętokrzyski. Kielce, 1945. Związek Zawodowy Literatów Polskich. Str. 65. — Witold Zechenter: Strzępy okupacji. Kraków, 1945. S. A. Krzyżanowski. Str. 48.

Po omawianej w poprzednim przeglądzie **Sprawie wyobraźni** Zbigniewa Bieńkowskiego **Pole Mokotowskie** Marii Castellatti jest drugim z kolei zasługującym na uwagę debiutem poetyckim. Właściwą dziedziną autorki zdaje się być liryka refleksyjna, w której wypowiada się w sposób własny i rzetelnie pogłębiony. Poezja to przy tym zwarta i w swej na ogół prostej wymowie umiarkowanie uniezwyklona świeżością poetyckiego obrazowania. W autorce zdaje się toczyć walka o prymat między rozumem a uczuciem. Natura to zapewne uczuciowo bogata, lecz świadomie poddająca się rządom intelektu. A jeśli wrażenie to jest mylne, niechaj recenzenta usprawie-

dliwi fakt, że nie miał do rozporządzenia egzemplarza, przygodnie tylko mógł przeczytać zbiorek i na razie uważa za swój obowiązek sygnalizować jego pojawienie się drukiem. — **Tamtym dniom** Teofila Kowalczyka to również debiut. Autor nie posiada jeszcze własnego oblicza. Odbijają się na jego poezji wpływy rozmaite, ale raczej mniej oklepane i dlatego niektóre jego utwory czyta się z zaciekawieniem. Jest to niewątpliwy talent, wymaga jednak wyrobienia wewnętrznego i zwłaszcza usamodzielnienia. — **Podróż do ziemi świętej** Andrzeja Nowickiego jest to znowu zjawisko wygrywania na ogranych nutach współczesnej treści uczuciowej. Zjawisko wspólne zresztą poezji emigracyjnej, nie wyłączając Broniewskiego, Balińskiego, Słonimskiego i Tuwima, z którymi Nowickiego łączy wiele pokrewnych strun. Poeta to wszakże wyrobiony i dobrze władający obraną techniką wierszową. Utwory jego należą do rodzaju, który ma zapewnioną szeroką popularność. Zwłaszcza jego wiersze o Warszawie nie tylko trafić powinny do gustu czytelników, lecz naprawdę są ładne. — **Oberek świętokrzyski** Józefa Ozgi-Michalskiego wprowadza do naszej poezji świeże motywy ludowe. Nie zawsze w sposób jednakowo szczęśliwy, niekiedy w swej skłonności do naturalizmu poeta zniża się do prozaizmów, lecz na ogół zwycięsko pokonuje wynikające stąd trudności, zwłaszcza że dopisuje mu i temperament i humor.— **Strzępy okupacji** Witolda Zechentera to przede wszystkim pamiętnik poetycki ostatnich minionych lat. Nie brak w nim nawet motywów publicystycznych. Ale jest i liryzm, może w wyrazie raczej skromny, lecz płynący z istotnego wewnętrznego uczucia poety.

NOTATKI KRONIKARZA

Towarzystwo Naukowe Warszawskie na publicznym zebraniu inauguracyjnym 7 stycznia 1946 r. zadokumentowało ciągłość i trwałość swego istnienia. Pozbawione siedziby, ograbione i wyniszczone z mienia i zbiorów, nie przerywając działalności nawet w czasie okupacji, choć oczywiście w ukryciu, obecnie przystępuje do prac, zamierzonych na szeroką skalę. Stan liczbowy członków Towarzystwa zmalał o jedną trzecią, co daje miarę ogromu strat, poniesionych przez naukę polską pod niemieckim najazdem. Aby wypełnić luki powołano już szereg nowych członków. Szczegółowe sprawozdanie ze stanu Towarzystwa, jego prac i zamierzeń przedstawili: prezes, prof. Wacław Sierpiński i sekretarz generalny, prof. Julian Krzyżanowski. Na zakończenie prof. St. Pieńkowski w ciekawie

ujętym wykładzie dał pogląd na stan dzisiejszy badań nad jądrem atomowym i ich praktycznymi wynikami.

Prof. dr Stanisław Kutrzeba, prezes Polskiej Akademii Umiejętności, badacz dawnego prawa polskiego, autor powszechnie znanego czterotomowego zarysu dziejów ustroju Polski, więziony przez Niemców w Sachsenhausen, zmarł w Krakowie 7 stycznia 1946 r.

90-tą rocznicę śmierci Adama Mickiewicza obchodzono uroczyście w kraju i za granicą. Z krajowych pamiątek tej daty najciekawiej przedstawia się listopadowy zeszyt miesięcznika „Twórczość". Za granicą najobfitszy materiał przynoszą sprawozdania ze Związku Radzieckiego.

Narodowe Wydanie Dzieł Adama Mickiewicza, podjęte przez Ministerstwo Kultury i Sztuki w wykonaniu uchwały Krajowej Rady Narodowej z 5 maja 1945 r., jest bliskie realizacji. Redakcja wydawnictwa pod kierunkiem prof. Leona Płoszewskiego, przy współpracy uniwersyteckich polonistów i przedstawicieli literatury, przygotowała już do druku pierwszą serię Dzieł, która w 4 tomach obejmie utwory poetyckie. II seria z Literaturą słowiańską w 3 tomach, III seria z Trybuną Ludów i innymi pismami prozą w 4 tomach i IV seria z przemówieniami i korespondencją poety w 4 tomach będą gotowe w odstępach kwartalnych, czyli całość wydawnictwa powinna się ukazać do końca b.r. Naprzód zostanie wydrukowane wydanie powszechne Dzieł, które udostępni najszerszym kołom społecznym wszystkie utwory i pisma poety w pełnych, krytycznie ustalonych tekstach, z pominięciem tylko naukowego aparatu filologicznego. Wprowadzający do tego wydania wstęp podjął się napisać poeta Julian Przyboś, żywo interesujący się twórczością Mickiewicza, jak świadczą o tym piękne jego artykuły w „Odrodzeniu" i „Twórczości". Niezbędne komentarze w opracowaniu fachowych polonistów. Z kolei, po wydaniu powszechnym, pójdzie do druku wydanie naukowe, pomyślane jako ciąg dalszy i dokończenie tzw. wydania sejmowego, podjętego już w roku 1920, lecz z którego do końca r. 1939 ukazała się ledwo połowa. Termin ukazania się wydania powszechnego zależy od sprawności technicznej Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik", która — jak się dowiadujemy — obejmuje tę stronę wydawnictwa. Warunki i środki, jakimi „Czytelnik" rozporządza, dają gwarancję, że Narodowe Wydanie Dzieł Adama Mickiewicza będzie oddane społeczeństwu w określonym terminie. Dzieła wychodzą nakładem Skarbu R.P. i będą sprzedawane po cenie dla wszystkich dostępnej.

70-tą rocznicę działalności scenicznej Ludwika Solskiego, znakomitego artysty, reżysera i dyrektora teatralnego, obchodzono w Krakowie 11 stycznia b.r. W uroczystości wzięli udział Wiceprezydent Krajowej Rady Narodowej Stanisław Szwalbe, który imieniem Prezydenta udekorował jubilata orderem Polonia Restituta I klasy, oraz Wiceminister Kultury i Sztuki Leon Kruczkowski.

Państwowy Teatr Polski w Warszawie pod dyrekcją d-ra Arnolda Szyfmana rozpoczął działalność inauguracyjnym przedstawieniem „Lilli Wenedy" w dniu 17 stycznia b.r. Plan repertuarowy na sezon najbliższy przewiduje kilka prapremier współczesnych autorów polskich. M. in. duże nadzieje rokuje debiut dramatyczny: „Papuga" Kazimierza Kercellego.

Teatry Związku Radzieckiego mają wystawić w najbliższym czasie przekłady szeregu sztuk polskich. W próbach „Maria Stuart" Słowackiego. W przygotowaniu „Damy i huzary" Fredry. „Moralność Pani Dulskiej" Zapolskiej, „Lato w Nohant" Iwaszkiewicza.

Włodzimierz Iwannikow, kompozytor radziecki, przybył do Polski z końcem grudnia b.r. Iwannikow jest autorem muzycznego opracowania polskich pieśni ludowych, których pierwsza seria spotkała się z żywym zainteresowaniem w Związku Radzieckim. Druga seria w przygotowaniu. Obecnie Iwannikow pracuje nad oratorium na temat martyrologii Warszawy. Polskie libretto do oratorium pisze Jarosław Iwaszkiewicz.

„Język Polski", organ Towarzystwa Miłośników języka polskiego, wydawany w Krakowie, wznowił swą działalność pod redakcją prof. Kazimierza Nitscha. Wydane w drugim półroczu 1945 r. trzy zeszyty XXV rocznika czasopisma zasługującego na ogólną uwagę i szerokie rozpowszechnienie, zawierają m. in. prace Zenona Klemensiewicza: Miłośnictwo języka w dziejach polszczyzny, Witolda Taszyckiego: Nazwa rzeczna i miejscowa **Nysa,** Kazimierza Nitscha: O nową reformę ortografii (polemika z Janem Nepomucenem Millerem), Kazimierza Nitscha: Nazwy miejscowe w odzyskanej Polsce zachodniej, Franciszka Siedleckiego: O nowych badaniach nad budową wiersza, Marii Dąbrowskiej: Od strony pisarza. Z ostatnio przytoczonego artykułu znakomitej powieściopisarki powtarzamy zakończenie: „W czasach, gdy tyle sił poświęca się na rzeczy nieistotne, było wielką pokusą pogawędzić o rzeczach dla ludzi ducha tak istotnych jak słowo. Przeczytanie **Języka Polskiego** było też jedną z moich największych przyjemności „ostatniego półrocza".

„Nauka i Sztuka", miesięcznik, wychodzi w Krakowie pod redakcją prof. Juliana Krzyżanowskiego i doc. Stefana Kuczyńskiego. Na urozmaiconą treść pierwszego zeszytu złożyły się m. in. poezje Leopolda Staffa, Mieczysława Jastruna, Macieja Szukiewicza i Czesława Miłosza (przekład z Wordswortha), rozważania J. K. Dębowskiego „Z myśli o nauce" i Juliana Przybosia: „Na temat sztuki narodowej", Adama Krzyżanowskiego: „Wachlarz myśli pacyfistycznej", Hanny Malewskiej fragment powieści biograficznej o Norwidzie, szkice krytyczne Romana Dybowskiego o Whitmanie i Wacława Borowego o Staszycu, B. Olszewicza lista strat wojenno-okupacyjnych w świecie nauki polskiej.

„Twórczość", miesięcznik literacko-krytyczny, wychodzący w Krakowie pod redakcją d-ra Kazimierza Wyki, stał się bezspornie najpoważniejszym naszym periodykiem literackim. W wydanych dotąd pięciu 200-stronicowych zeszytach dano przegląd współczesnej polskiej twórczości poetyckiej i powieściowej w istotnie najciekawszych próbach spod pióra starszych i młodych autorów. Urozmaicony i staranny dobór szkiców i przeglądów krytycznych dopełnia umiejętnie redagowaną całość w sposób żywy i żywotny. — Z tygodników przoduje nadal **„Odrodzenie"** pod redakcją Karola Kuryluka, aczkolwiek pewne zastrzeżenie budzić musi wzrastająca ociężałość wielu artykułów. — **„Kuźnica"**, przekształcona na tygodnik pod redakcją Stefana Żółkiewskiego, ożywiła się natomiast i trafnie łączy się w niej nacisk społeczny z uwzględnieniem zagadnień kultury i sztuki. — Tym naczelnym periodykom krajowym towarzyszą wysiłki prowincjonalne, o poziomie niezawsze dobrze wyrównanym, lecz przynoszące nieraz ciekawy materiał kulturalny oraz dokładniejsze sprawozdania regionalne. Należą do nich m. in.: chełmska **„Kamena"** pod redakcją Kazimierza Andrzeja Jaworskiego, katowicka **„Odra"** pod redakcją Wilhelma Szewczyka, poznańskie **„Życie literackie"** pod redakcją Wojciecha Bąka, lubelski **„Zdrój"** pod redakcją Józefa Nikodema Kłosowskiego, bydgoska **„Arkona"** poświęcona polskiej kulturze Pomorza.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI:
MARSZAŁKOWSKA 6

Redakcja przyjmuje we wtorki od 16—18

Wydawca: **Zespół „Lewy Tor"**
Redaguje: **Zespół literacki „Lewy Tor"**

Nr 1617 — **Graficzna Spółdz. Pracy „Grochów", Grochowska 194.** B0-3686

80